

Czcigodny ks. Stefano Ferrando

Mons. Stefano Ferrando był niezwykle przykładowym misyjnym poświęcenia i posługi biskupiej, łącząc charyzmat salezjański z głębokim powołaniem do służby najuboższymi. Urodzony w 1895 roku w Piemontcie, młodo wstąpił do Zgromadzenia Salezjańskiego, a po służbie wojskowej podczas I wojny światowej, za którą otrzymał srebrny medal za waleczność, poświęcił się apostołatowi w Indiach. Jako biskup Krishnagar, a następnie Shillong przez ponad trzydzieści lat, nieustraszenie wędrował wśród ludności, promując ewangelizację z pokorą i głęboką miłością pasterską. Zakładał instytucje, wspierał katechetów świeckich i w swoim życiu ucieleśniał motto „Apostoł Chrystusa”. Jego życie było przykładem wiary, oddania się Bogu i całkowitego poświęcenia, pozostawiając duchowe dziedzictwo, które nadal inspirowało misję salezjańską na świecie.

Czcigodny Sługa Boży, biskup Stefano Ferrando potrafił połączyć swoje powołanie salezjańskie z charyzmatem misyjnym i posługą biskupią. Urodzony 28 września 1895 r. w Rossiglione (Genua, diecezja Acqui) jako syn Agostino i Giuseppiny Salvi, odznaczał się gorącą miłością do Boga i czułym nabożeństwem do Najświętszej Maryi Panny. W 1904 r. wstąpił do szkół salezjańskich, najpierw w Fossano, a następnie w Turynie – Valdocco, gdzie poznał następców Księdza Bosko i pierwsze pokolenie salezjanów oraz podjął studia kapłańskie; w międzyczasie pielęgnował pragnienie wyjazdu jako misjonarz. 13 września 1912 r. złożył pierwszą profesję zakonną w Zgromadzeniu Salezjańskim w Foglizzo. Powołany do wojska w 1915 r., wziął udział w I wojnie światowej. Za swoją odwagę został odznaczony srebrnym medalem za męstwo. Po powrocie do domu w 1918 r., 26 grudnia 1920 r. złożył śluby wieczyste. Świecenia kapłańskie przyjął 18 marca 1923 r. w Borgo San

Martino (Alessandria). 2 grudnia tego samego roku, wraz z dziewięcioma towarzyszami, wyruszył z Wenecji jako misjonarz do Indii. 18 grudnia, po 16 dniach podróży, grupa dotarła do Bombaju, a 23 grudnia do Shillong, miejsca jego nowego apostołatu. Jako mistrz nowicjatu wychowywał młodych salezjanów w miłości do Jezusa i Maryi i miał wielkiego ducha apostołstwa.

9 sierpnia 1934 r. papież Pius XI mianował go biskupem Krishnagar. Jego motto brzmiało: „Apostoł Chrystusa”. W 1935 r., 26 listopada, został przeniesiony do Shillong, gdzie pozostał biskupem przez 34 lata. Pracując w trudnej sytuacji kulturowej, religijnej i społecznej, biskup Ferrando pracował nieustraszenie, aby być blisko powierzonych mu ludzi, pracując gorliwie w rozległej diecezji, która obejmowała cały region północno-wschodnich Indii. Wolał podróżować pieszo niż samochodem, który miał do dyspozycji: pozwalało mu to spotykać się z ludźmi, zatrzymywać się i rozmawiać z nimi, angażować się w ich życie. Ten żywy kontakt z życiem ludzi był jednym z głównych powodów owocności jego ewangelicznego głoszenia: pokora, prostota, miłość do ubogich sprawiły, że wielu nawróciło się i poprosiło o chrzest. Założył seminarium dla kształcenia młodych indyjskich salezjanów, zbudował szpital, wznosił sanktuarium poświęcone Maryi Wspomożycielce i założył pierwsze zgromadzenie sióstr tubylczych, Zgromadzenie Sióstr Misjonarek Maryi Wspomożycielki (1942).

Człowiek o silnym charakterze, nie zniechęcał się w obliczu niezliczonych trudności, którym stawiał czoła z uśmiechem i łagodnością. Wytrwałość w obliczu przeszkód była jedną z jego głównych cech. Starał się łączyć przesłanie Ewangelii z lokalną kulturą, w której miało być osadzone. Był nieustraszony w swoich wizytach duszpasterskich, które odbywał w najbardziej odległych miejscach diecezji, aby odzyskać ostatnią zagubioną owcę. Wykazywał się szczególną wrażliwością i promował świeckich katechistów, których uważał za uzupełnienie misji biskupa i od których zależała w dużej mierze owocność głoszenia Ewangelii i jej przenikania na danym

terytorium. Ogromną uwagę poświęcał także duszpasterstwu rodzin. Pomimo licznych zobowiązań, Czcigodny Sługa Boży był człowiekiem o bogatym życiu wewnętrznym, karmionym modlitwą i skupieniem. Jako duszpasterz był doceniany przez swoje siostry, kapłanów, współbraci salezjanów i współbraci w episkopacie, a także przez ludzi, którzy czuli jego głęboką bliskość. Twórczo poświęcał się swojej trzodzie, troszcząc się o ubogich, broniąc niedotykalnych, opiekując się chorymi na cholere.

Kamieniami węgielnymi jego duchowości była synowska więź z Maryją Dziewicą, jego zapach misyjny, jego ciągłe odwoływanie się do Księdza Bosko, co wyłania się z jego pism i całej jego działalności misyjnej. Najbardziej świetlanym i heroicznym momentem jego życia pełnego cnót było opuszczenie diecezji Shillong. Arcybiskup Ferrando musiał złożyć rezygnację na ręce Ojca Świętego, gdy był jeszcze w pełni sił fizycznych i intelektualnych, aby umożliwić mianowanie swojego następcy, który miał zostać wybrany, zgodnie z instrukcjami przełożonych, spośród miejscowych kapłanów, których wyszkolił. Był to szczególnie bolesny moment, który wielki biskup przeżył z pokorą i posłuszeństwem. Zrozumiał, że nadszedł czas, aby przejść na emeryturę w modlitwie zgodnie z wolą Pana.

Powrócił do Genui w 1969 r. i kontynuował swoją działalność duszpasterską, przewodnicząc ceremoniom udzielania sakramentu bierzmowania i poświęcając się sakramentowi pokuty.

Do końca był wierny salezjańskiemu życiu zakonnemu, decydując się na życie we wspólnocie i rezygnując z przywilejów, które mogła mu zarezerwować pozycja biskupa. Nadal był „misjonarzem” we Włoszech. Nie „misjonarzem, który się przemieszcza, ale [...] misjonarzem, który jest”. Jego życie w tym ostatnim okresie stało się „promieniujące”. Stał się „misjonarzem modlitwy”, który mówił: „Cieszę się, że odszedłem, aby inni mogli przejąć tak wspaniałe dzieła”.

Z Genui kontynuował animację misji w Assam, podnosząc świadomość i wysyłając pomoc finansową. Przeżył tę godzinę oczyszczenia w duchu wiary, oddania się woli Bożej i posłuszeństwa, dotykając własną ręką pełnego znaczenia

ewangelicznego wyrażenia „jesteśmy tylko sługami nieużytecznymi” i potwierdzając swoim życiem *caetera tolle*, zawierzeniowo-ofiarniczy aspekt powołania salezjańskiego. Zmarł 20 czerwca 1978 r. i został pochowany w rodzinnym Rossiglione. W 1987 r. jego doczesne szczątki zostały sprowadzone do Indii.

W uległości Duchowi Świętemu prowadził owocną działalność duszpasterską, która przejawiała się w wielkiej miłości do ubogich, w pokorze ducha i braterskiej miłości, w radości i optymizmie ducha salezjańskiego.

Wraz z wieloma misjonarzami, którzy dzielili z nim przygodę Ducha na ziemi indyjskiej, w tym ze Sługami Bożymi Francesco Convertinim, Costantino Vendrame i Oreste Marengo, biskup Ferrando zainaugurował nową metodę misyjną: bycie misjonarzem wędrownym. Taki przykład jest opatrnościową wskazówką, zwłaszcza dla zgromadzeń zakonnych kuszonych procesem instytucjonalizacji i zamykania, aby nie straciły pasji wychodzenia na spotkanie ludzi i sytuacji największego materialnego i duchowego ubóstwa i nędzy, idąc tam, gdzie nikt nie chce iść i powierzając się tak jak ona. „Patrzę w przyszłość z ufnością, zawierzając się Maryi Wspomożycielce.. Powierzę się Maryi Wspomożycielce, która już uratowała mnie od tyłu niebezpieczeństw”.

Święta Monika, matka św. Augustyna, świadek nadziei

Kobieta o niezachwianej wierze, o płodnych łzach, wysłuchana przez Boga po siedemnastu długich latach. Wzór chrześcijanki, żony i matki dla całego Kościoła. Świadectwo nadziei, która przekształciła się w potężną orędowniczkę w Niebie. Sam Ksiądz

Bosko zalecał matkom, udręczonym niechrześcijańskim życiem swoich dzieci, aby powierzały się jej w modlitwach.

W wielkiej galerii świętych, którzy naznaczyli historię Kościoła, św. Monika (331-387) zajmuje szczególne miejsce. Nie z powodu spektakularnych cudów, nie z powodu założenia wspólnot zakonnych, nie z powodu znaczących przedsięwzięć społecznych czy politycznych. Monika jest pamiętana i czczona przede wszystkim jako matka, matka Augustyna, niespokojnego młodzieńca, który dzięki jej modlitwom, łzom i świadectwu wiary stał się jednym z największych Ojców Kościoła i Doktorów wiary katolickiej.

Jednak ograniczanie jej postaci do roli matki byłoby niesprawiedliwe i redukujące. Monika to kobieta, która potrafiła żyć swoim zwyczajnym życiem – żony, matki, wierzącej – w sposób niezwykły, przekształcając codzienność poprzez siłę wiary. Jest przykładem wytrwałości w modlitwie, cierpliwości w małżeństwie, niezachwianej nadziei w obliczu zboczeń syna.

Wiadomości o jej życiu pochodzą niemal wyłącznie z *Wyznań* Augustyna, tekstu, który nie jest kroniką, lecz teologiczną i duchową interpretacją istnienia. Mimo to, na tych stronach Augustyn kreśli niezapomniany portret matki: nie tylko dobrej i pobożnej kobiety, ale autentycznego wzoru wiary chrześcijańskiej, „matki łez”, które stają się źródłem łaski.

Początki w Tagaście

Monika urodziła się w 331 roku w Tagaście, mieście w Numidii, [Souk Ahras](#) w dzisiejszej Algierii. Było to tętniące życiem centrum, naznaczone obecnością rzymską i już zakorzenioną wspólnotą chrześcijańską. Pochodziła z zamożnej rodziny chrześcijańskiej: wiara była już częścią jej horyzontu kulturowego i duchowego.

Jej wychowanie naznaczone było wpływem surowej piastunki, która wychowała ją w skromności i umiarkowaniu. Święty Augustyn napisze o niej: „Nie będę mówił o jej darach, lecz o Twoich darach dla niej, która nie stworzyła się sama, ani nie wychowała się sama. Ty ją stworzyłeś, zanim nawet ojciec i

matka wiedzieli, jaką będą mieli córkę; i nauczyła ją Twojej bojaźni różga Twojego Chrystusa, czyli dyscyplina Twojego Jednorodzonego, w domu wierzących, zdrowy członek Twojego Kościoła" (*Wyznania IX*, 8, 17).

W tych samych *Wyznaniach* Augustyn opowiada również o znaczącym epizodzie: młoda Monika miała zwyczaj pić małe łyki wina z piwnicy, aż pewna służąca upomniała ją, nazywając ją „pijaczką”. To upomnienie wystarczyło jej, by ostatecznie się poprawić. Ta pozornie drobna anegdota pokazuje jej uczciwość w rozpoznawaniu własnych grzechów, pozwalaniu się korygować i wzrastaniu w cnocie.

W wieku 23 lat Monika została wydana za mąż za Patrycjusza, pogańskiego urzędnika miejskiego, znanego z cholerycznego charakteru i niewierności małżeńskiej. Życie małżeńskie nie było łatwe: życie z impulsywnym mężczyzną, dalekim od wiary chrześcijańskiej, wystawiło jej cierpliwość na ciężką próbę. Mimo to Monika nigdy nie popadła w zniechęcenie. Z postawą łagodności i szacunku potrafiła stopniowo zdobywać serce męża. Nie odpowiadała ostro na wybuchy gniewu, nie podsyciała niepotrzebnych konfliktów. Z czasem jej wytrwałość przyniosła owoce: Patrycjusz nawrócił się i przyjął chrzest krótko przed śmiercią.

Świadectwo Moniki pokazuje, jak świętość niekoniecznie wyraża się w spektakularnych gestach, ale w codziennej wierności, w miłości, która potrafi powoli przekształcać trudne sytuacje. W tym sensie jest wzorem dla wielu żon i matek, które żyją w małżeństwach naznaczonych napięciami lub różnicami wiary.

Monika matka

Z małżeństwa urodziło się troje dzieci: Augustyn, Nawigiusz i córka, której imienia nie znamy. Monika wylała na nich całą swoją miłość, ale przede wszystkim swoją wiarę. Nawigiusz i córka podążali prostą drogą chrześcijańską: Nawigiusz został kapłanem; córka obrała drogę życia konsekrowanego. Augustyn natomiast szybko stał się centrum jej zmartwień i łez.

Już jako chłopiec Augustyn wykazywał niezwykłą inteligencję.

Monika wysłała go na studia retoryki do [Kartaginy](#), pragnąc zapewnić mu świetlaną przyszłość. Ale wraz z postępami intelektualnymi przyszły również pokusy: zmysłowość, światowość, złe towarzystwo. Augustyn przyjął doktrynę manichejską, przekonany, że znajdzie w niej racjonalne odpowiedzi na problem zła. Ponadto zaczął żyć bez ślubu z kobietą, z którą miał syna, Adeodata. Zboczenia syna skłoniły Monikę do odmówienia mu gościny w swoim domu. Jednak nie przestała się za niego modlić i składać ofiary: „z krwawiącego serca mojej matki ofiarowywała się Tobie za mnie noc i dzień ofiara jej łez” (*Wyznania* V, 7,13) i „wylewała więcej łez niż kiedykolwiek matki wlewają z powodu fizycznej śmierci dzieci” (*Wyznania* III, 11,19).

Dla Moniki była to głęboka rana: syn, którego poświęciła Chrystusowi w łonie, gubił się. Ból był nieopisany, ale nigdy nie przestała mieć nadziei. Sam Augustyn napisze: „Serce mojej matki, dotknięte taką raną, nigdy by się nie zagoiło: bo nie potrafię odpowiednio wyrazić jej uczuć do mnie i o ile większy był jej trud w urodzeniu mnie w duchu niż ten, z którym urodziła mnie w ciele” (*Wyznania* V, 9,16).

Nasuwa się pytanie: dlaczego Monika nie ochrzciła Augustyna zaraz po urodzeniu?

Chociaż chrzest dzieci był już znany i udzielany, nie był jeszcze powszechną praktyką. Wielu rodziców wolało odkładać go na dorosłość, uważając go za „ostateczne obmycie”: obawiali się, że jeśli ochrzczony popełniłby poważny grzech, zbawienie byłoby zagrożone. Ponadto Patrycjusz, wciąż poganin, nie miał żadnego interesu w wychowywaniu syna w wierze chrześcijańskiej.

Dziś wyraźnie widzimy, że był to niefortunny wybór, ponieważ chrzest nie tylko czyni nas dziećmi Bożymi, ale daje nam łaskę zwycięstwa nad pokusami i grzechem.

Jedno jest jednak pewne: gdyby został ochrzczony jako dziecko, Monika oszczędziłaby sobie i synowi tyle cierpień.

Najsilniejszy obraz Moniki to obraz matki, która modli się i

płacze. *Wyznania* opisują ją jako kobietę nieustrudzoną w wstawiennictwie u Boga za syna.

Pewnego dnia biskup Tagasty – według niektórych, sam Ambroży – uspokoił ją słowami, które stały się sławne: „Idź, nie może zginąć syn tylu łez”. To zdanie stało się gwiazdą przewodnią Moniki, potwierdzeniem, że jej matczyny ból nie był daremny, ale częścią tajemniczego planu łaski.

Wytrwałość matki

Życie Moniki było również pielgrzymką śladami Augustyna. Kiedy syn postanowił potajemnie wyjechać do Rzymu, Monika nie szczędziła żadnego wysiłku; nie uznała sprawy za przegraną, ale podążała za nim i szukała go, aż go znalazła. Dotarła do niego w Mediolanie, gdzie Augustyn otrzymał katedrę retoryki. Tam znalazła duchowego przewodnika w osobie św. Ambrożego, biskupa miasta. Między Moniką a Ambrożym narodziła się głęboka więź: ona rozpoznawała w nim pasterza zdolnego do prowadzenia syna, podczas gdy Ambroży podziwiał jej niezachwianą wiarę.

W Mediolanie kazania Ambrożego otworzyły Augustynowi nowe perspektywy. Stopniowo porzucił manicheizm i zaczął patrzeć na chrześcijaństwo nowymi oczami. Monika cicho towarzyszyła temu procesowi: nie przyspieszała, nie żądała natychmiastowych nawróceń, ale modliła się i wspierała go, pozostając u jego boku aż do jego nawrócenia.

Nawrócenie Augustyna

Bóg wydawał się jej nie słuchać, ale Monika nigdy nie przestała się modlić i składać ofiar za syna. Po siedemnastu latach jej prośby w końcu zostały wysłuchane – i to jak! Augustyn nie tylko stał się chrześcijaninem, ale został kapłanem, biskupem, doktorem i ojcem Kościoła.

On sam to uznaje: „Ty jednak w głębi swoich zamysłów wysłuchiłaś żywotnego punktu jej pragnienia, nie dbając o chwilowy przedmiot jej prośby, ale dbając o to, by uczynić ze mnie to, co zawsze prosiła Cię, abys uczynił” (*Wyznania* V, 8,15).

Decydujący moment nadszedł w 386 roku. Augustyn, wewnętrznie

dręczony, walczył z namiętnościami i oporem swojej woli. W słynnym epizodzie w ogrodzie w Mediolanie, słysząc głos dziecka mówiącego „Tolle, lege” („Weź, czytaj”), otworzył List do Rzymian i przeczytał słowa, które zmieniły jego życie: „Przyobleczcie się w Pana Jezusa Chrystusa i nie troszczcie się o ciało, by zaspokajać jego pożądliwości” (Rz 13,14).

Był to początek jego nawrócenia. Wraz z synem Adeodatem i kilkoma przyjaciółmi wycofał się do Cassiciacum, aby przygotować się do chrztu. Monika była z nimi, uczestnicząc w radości z widzenia w końcu wysłuchanych modlitw tylu lat.

W Wielką Noc 387 roku, w katedrze w Mediolanie, Ambroży ochrzcił Augustyna, Adeodata i innych katechumenów. Łzy bólu Moniki zamieniły się w łzy radości. Nadal pozostawała w jego służbie, tak że w Cassiciacum Augustyn powie: „Dbała o nas, jakby była matką wszystkich, i służyła nam, jakby była córką wszystkich”.

Ostia: ekstaza i śmierć

Po chrzcie Monika i Augustyn przygotowywali się do powrotu do Afryki. Zatrzymali się w [Ostii](#), gdzie czekając na statek, przeżyli moment niezwykle intensywny duchowo. *Wyznania* opowiadają o ekstazie w Ostii: matka i syn, spoglądając przez okno, kontemplowali razem piękno stworzenia i wznosili się ku Bogu, jakby smakując błogosławieństwa nieba. Monika powie: „Synu, co do mnie, nie znajduję już żadnej atrakcji w tym życiu. Nie wiem, co jeszcze tu robię i dlaczego tu jestem. Ten świat nie jest już dla mnie przedmiotem pragnień. Był tylko jeden powód, dla którego pragnęłam pozostać jeszcze trochę w tym życiu: zobaczyć cię chrześcijaninem katolikiem, zanim umrę. Bóg wysłuchał mnie ponad wszelkie moje oczekiwania, pozwolił mi zobaczyć cię w Jego służbie i uwolnionego od ziemskich aspiracji do szczęścia. Co ja tu robię?” (*Wyznania* IX, 10,11). Osiągnęła swój ziemski cel.

Kilka dni później Monika ciężko zachorowała. Czując zbliżający się koniec, powiedziała dzieciom: „Dzieci moje, pochowacie tu swoją matkę: nie martwcie się, gdzie. Tylko o to was proszę:

pamiętajcie o mnie przy ołtarzu Pana, gdziekolwiek będziecie". Była to synteza jej życia: nie obchodziło jej miejsce pochówku, ale więź w modlitwie i Eucharystii. Zmarła w wieku 56 lat, 12 listopada 387 roku, i została pochowana w Ostii. W VI wieku jej relikwie zostały przeniesione do ukrytej krypty w tym samym [kościółce św. Aurei](#). W 1425 roku relikwie zostały przeniesione do Rzymu, do [bazyliki św. Augustyna na Polu Marsowym](#), gdzie są czczone do dziś.

Duchowy profil Moniki

Augustyn opisuje swoją matkę słowami dobrze wyważonymi:

„[...] kobieca w wyglądzie, męska w wierze, wiekowa w spokoju, matczyna w miłości, chrześcijańska w pobożności [...]” (*Wyznania IX, 4, 8*).

A także:

„[...] wdowa czysta i skromna, wytrwała w jałmużnie, pobożna i poddana Twoim świętym; która nie przepuszczała dnia bez złożenia ofiary na Twój ołtarz, która dwa razy dziennie, rano i wieczorem, bezbłędnie nawiedzała Twój kościół, i nie po to, by próżno rozmawiać i plotkować jak inne staruszki, ale by słuchać Twoich słów i dawać Ci słuchać swoich modlitw? Czy takiej kobiety, która nimi prosiła Cię nie o złoto ani srebro, ani o dobra nietrwałe czy zmienne, ale o zbawienie duszy swego syna, czyż mógłbyś je wzgardzić Ty, który tak ją uczyniłeś swoją łaską, odmawiając jej swojej pomocy? Z pewnością nie, Panie. Ty raczej byłeś przy niej i wysłuchiwałeś jej, działając zgodnie z porządkiem, w którym przeznaczyłeś, że masz działać” (*Wyznania V, 9,17*).

Z tego augustyńskiego świadectwa wyłania się postać o zaskakującej aktualności.

Była kobietą modlitwy: nigdy nie przestała wzywać Boga o zbawienie swoich bliskich. Jej łyzy stają się wzorem wytrwałego wstawiennictwa.

Była wierną żoną: w trudnym małżeństwie nigdy nie odpowiadała z urazą na surowość męża. Jej cierpliwość i łagodność były

narzędziami ewangelizacji.

Była odważną matką: nie opuściła syna w jego zboczeniach, ale towarzyszyła mu z wytrwałą miłością, zdolną zaufać czasom Bożym.

Była świadkiem nadziei: jej życie pokazuje, że żadna sytuacja nie jest beznadziejna, jeśli jest przeżywana w wierze.

Przesłanie Moniki nie należy tylko do IV wieku. Mówi ono również dzisiaj, w kontekście, w którym wiele rodzin przeżywa napięcia, dzieci oddalają się od wiary, rodzice doświadczają trudu oczekiwania.

Rodziców uczy, by się nie poddawać, by wierzyć, że łaska działa w tajemniczy sposób.

Chrześcijkom pokazuje, jak łagodność i wierność mogą przekształcać trudne relacje.

Każdemu, kto czuje się zniechęcony w modlitwie, świadczy, że Bóg słucha, nawet jeśli czasy nie pokrywają się z naszymi.

Nieprzypadkowo wiele stowarzyszeń i ruchów wybrało Monikę na patronkę matek chrześcijańskich i kobiet, które modlą się za dzieci oddalone od wiary.

Kobieta prosta i niezwykła

Życie świętej Moniki to historia kobiety prostej i jednocześnie niezwykłej. Prostej, bo przeżytej w codzienności rodziny, niezwykłej, bo przemienionej przez wiarę. Jej łzy i modlitwy ukształtowały świętego i poprzez niego głęboko wpłynęły na historię Kościoła.

Jej pamięć, obchodzona 27 sierpnia, w wigilię święta św. Augustyna, przypomina nam, że świętość często przechodzi przez ukrytą wytrwałość, cichą ofiarę, nadzieję, która nie zawodzi.

W słowach Augustyna, skierowanych do Boga za matkę, znajdujemy syntezę jej duchowego dziedzictwa: „Nie mogę wystarczająco powiedzieć, jak bardzo moja dusza jest jej dłużna, mój Boże; ale Ty wiesz wszystko. Odpłać jej swoją miłością to, o co prosiła Cię tyloma łzami za mnie” (*Wyznania* IX, 13).

Święta Monika poprzez wydarzenia swojego życia osiągnęła wieczne szczęście, które sama zdefiniowała: „Szczęście polega

bez wątpienia na osiągnięciu celu i należy ufać, że do niego możemy być doprowadzeni przez mocną wiarę, żywą nadzieję, żarliwą miłość” (*La Felicità* 4,35).

Prorocy przebaczenia i bezinteresowności

W dzisiejszych czasach, gdy wiadomości dzień po dniu donoszą o konfliktach, wojnach i nienawiści, jakże wielkie jest ryzyko, że my, jako wierzący, zostaniemy wciągnięci w interpretację wydarzeń, która sprowadza się jedynie do poziomu politycznego, albo ograniczymy się do zajęcia stanowiska po jednej lub drugiej stronie, posługując się argumentami, które mają związek z naszym sposobem postrzegania rzeczy, z naszym sposobem interpretowania rzeczywistości.

W mowie Jezusa, która następuje po błogosławieństwach, znajduje się seria „małych/wielkich lekcji”, które Pan oferuje. Zawsze zaczynają się od wersetu „Słyszeliście, że powiedziano”. W jednej z nich Pan przypomina starożytne powiedzenie „oko za oko i ząb za ząb” (Mt 5,38).

Poza logiką Ewangelii, to prawo nie tylko nie jest kwestionowane, ale może być nawet traktowane jako zasada, która wyraża sposób wyrównywania rachunków z tymi, którzy nas obrazili. Zemsta jest postrzegana jako prawo, a nawet obowiązek.

Jezus staje przed tą logiką z propozycją całkowicie odmienną, całkowicie przeciwną. Na to, co usłyszeliśmy, Jezus mówi nam: „A Ja wam powiadam” (Mt 5,39). I tutaj jako chrześcijanie musimy być bardzo ostrożni. Słowa Jezusa, które następują, są ważne nie tylko same w sobie, ale dlatego, że w bardzo syntetyczny sposób wyrażają całe Jego przesłanie. Jezus nie

przychodzi, aby nam powiedzieć, że istnieje inny sposób interpretowania rzeczywistości. Jezus nie zbliża się do nas, aby poszerzyć spektrum opinii na temat rzeczywistości ziemskich, w szczególności tych, które dotyczą naszego życia. Jezus nie jest kolejną opinią, ale On sam ucieleśnia alternatywną propozycję dla prawa zemsty.

Zwrot „a Ja wam powiadam” ma fundamentalne znaczenie, ponieważ teraz nie jest to już wypowiedziane słowo, ale sama osoba Jezusa. To, co Jezus nam przekazuje, On sam przeżywa. Kiedy Jezus mówi: „nie stawiajcie oporu złemu; a jeśli ktoś cię uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi” (Mt 5,39), te same słowa przeżył osobiście. Z pewnością nie możemy powiedzieć o Jezusie, że dobrze naucza, ale źle czyni w swoim przesłaniu.

Wracając do naszych czasów, te słowa Jezusa mogą być postrzegane jako słowa osoby słabej, reakcje kogoś, kto nie jest już w stanie reagować, a jedynie cierpieć. I rzeczywiście, kiedy patrzymy na Jezusa, który całkowicie oddaje się na drzewie Krzyża, takie wrażenie możemy odnieść. A jednak doskonale wiemy, że ofiara na krzyżu jest owocem życia, które zaczyna się od zdania „a Ja wam powiadam”. Ponieważ wszystko, co Jezus nam powiedział, On sam w pełni przyjął. I przyjmując to w pełni, zdołał przejść od krzyża do zwycięstwa. Logika Jezusa pozornie komunikuje osobowość przegraną. Ale doskonale wiemy, że przesłanie, które Jezus nam zostawił i które On sam w pełni przeżył, jest lekarstwem, którego ten świat dziś naprawdę potrzebuje.

Być prorokami przebaczenia oznacza przyjmować dobro jako odpowiedź na zło. Oznacza mieć determinację, że moc złego nie będzie warunkować mojego sposobu postrzegania i interpretowania rzeczywistości. Przebaczenie nie jest odpowiedzią słabego. Przebaczenie jest najbardziej wymownym znakiem tej wolności, która jest zdolna rozpoznać rany, które zło pozostawia za sobą, ale te same rany nigdy nie będą prochem, który podsycza zemstę i nienawiść.

Reagowanie na zło złem tylko poszerza i pogłębia rany

ludzkości. Pokój i zgoda nie rosną na gruncie nienawiści i zemsty.

Być prorokami bezinteresowności wymaga od nas zdolności patrzenia na ubogich i potrzebujących nie z logiką zysku, ale z logiką miłości. Ubogi nie wybiera bycia ubogim, ale ten, kto ma się dobrze, ma możliwość wyboru bycia hojnym, dobrym i pełnym współczucia. Jakże inny byłby świat, gdyby nasi przywódcy polityczni w tym scenariuszu, gdzie rosną konflikty i wojny, mieli rozsądek, aby spojrzeć na tych, którzy płacą cenę w tych podziałach, a są to ubodzy, marginalizowani, ci, którzy nie mogą uciec, bo nie dają rady.

Jeśli zaczniemy od czysto horyzontalnej interpretacji, można się załamać. Nie pozostaje nam nic innego, jak zamknąć się w naszych narzekaniach i krytyce. A jednak, nie! Jesteśmy wychowawcami młodzieży. Dobrze wiemy, że ci młodzi ludzie w naszym świecie szukają punktów odniesienia zdrowej ludzkości, przywódców politycznych zdolnych interpretować rzeczywistość według kryteriów sprawiedliwości i pokoju. Ale kiedy nasi młodzi ludzie rozglądają się wokół, dobrze wiemy, że dostrzegają jedynie pustkę ubogiej wizji życia.

My, którzy angażujemy się w edukację młodzieży, mamy ogromną odpowiedzialność. Nie wystarczy komentować ciemności, którą pozostawia niemal całkowity brak przywództwa. Nie wystarczy komentować, że nie ma propozycji, które byłyby w stanie rozpalić pamięć młodych ludzi. Do każdego z nas należy zapalenie tej świecy nadziei w tej ciemności, oferowanie przykładów udanej ludzkości w codziennym życiu.

Naprawdę warto dziś być prorokami przebaczenia i bezinteresowności.

Kardynał August Hłond

Drugie z 11 dzieci, jego ojciec był pracownikiem kolei. Otrzymawszy prostą, ale silną wiarę od swoich rodziców, w wieku 12 lat, przyciągnięty sławą Księdza Bosko, podążył za swoim bratem Ignacym do Włoch, aby poświęcić się Panu w Towarzystwie Salezjańskim, a wkrótce przyciągnął tam dwóch innych braci: Antoniego, który został salezjaninem i znanym muzykiem, oraz Klemensa, który został misjonarzem. Kolegium w Valsalice przyjęło go na naukę w gimnazjum. Następnie został przyjęty do nowicjatu i otrzymał sutannę od błogosławionego Michała Rua (1896). Po złożeniu profesji zakonnej w 1897 r. przełożeni wysłali go do Rzymu na Uniwersytet Gregoriański na studia filozoficzne, które uwieńczył uzyskaniem dyplomu. Z Rzymu powrócił do Polski, by odbyć praktykę w szkole w Oświęcimiu. Jego wierność systemowi wychowawczemu Księdza Bosko, jego zaangażowanie w pomoc i szkołę, jego poświęcenie dla młodzieży i przyjazny sposób bycia przyniosły mu wielkie uznanie. Szybko zyskał też sławę dzięki swojemu talentowi muzycznemu.

Po ukończeniu studiów teologicznych przyjął święcenia kapłańskie 23 września 1905 r. w Krakowie z rąk biskupa Nowaka. W latach 1905-09 studiował na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Krakowskiego i Lwowskiego. W 1907 r. został przełożonym nowego domu w Przemyślu (1907-09), skąd przeszedł do kierowania domem w Wiedniu (1909-19). Tutaj jego męstwo i osobiste zdolności miały jeszcze większy zasięg ze względu na szczególne trudności, z jakimi borykał się instytut w stolicy cesarstwa. Ks. Augustowi Hłondowi, dzięki jego cnocie i taktowi, udało się w krótkim czasie nie tylko uporządkować sytuację ekonomiczną, ale także doprowadzić do rozkwitu pracy z młodzieżą, która przyciągnęła podziw wszystkich ludzi. Troska o ubogich, robotników, dzieci przyciągnęła do niego sympatię najuboższych. Drogi biskupom i nuncjuszom apostolskim, cieszył się szacunkiem władz i samej rodziny cesarskiej. W uznaniu tej pracy społecznej i edukacyjnej

trzykrotnie otrzymał niektóre z najbardziej prestiżowych wyróżnień.

W 1919 r. rozwój Inspektorii Austro-Węgierskiej spowodował podział proporcjonalnie do liczby domów, a przełożeni mianowali ks. Hłonda inspektorem Inspektorii Niemiecko-Węgierskiej z siedzibą w Wiedniu (1919-22), powierzając mu opiekę nad współbraćmi austriackimi, niemieckimi i węgierskimi. W ciągu zaledwie trzech lat młody inspektor stworzył kilkanaście nowych placówek salezjańskich i uformował je w najbardziej autentycznym duchu salezjańskim, wzbudzając liczne powołania.

Był w pełnym zapale swojej salezjańskiej działalności, kiedy w 1922 r. Stolica Apostolska musiała zapewnić religijne uporządkowanie dla polskiego Śląska, wciąż krwawiącego z powodu konfliktów politycznych i narodowych, Ojciec Święty Pius XI powierzył mu delikatną misję, mianując go administratorem apostolskim. Jego mediacja między Niemcami i Polakami dała w 1925 r. początek diecezji katowickiej, której został biskupem. W 1926 r. został arcybiskupem gnieźnieńskim i poznańskim oraz prymasem Polski. W następnym roku papież mianował go kardynałem. W 1932 r. założył Towarzystwo Chrystusowe dla Emigrantów Polskich, mające na celu pomoc wielu rodakom, którzy opuścili kraj.

W marcu 1939 r. wziął udział w konklawe, które wybrało Piusa XII. 1 września tego samego roku naziści zaatakowali Polskę: rozpoczęła się II wojna światowa. Kardynał podniósł głos przeciwko łamaniu przez Hitlera praw człowieka i wolności religijnej. Zmuszony do emigracji, schronił się we Francji, w opactwie Hautecombe, potępiając prześladowania Żydów w Polsce. Gestapo przeniknęło do opactwa i aresztowało go, deportując do Paryża. Kardynał kategorycznie odmawia poparcia dla utworzenia pronazistowskiego rządu polskiego. Został internowany najpierw w Lotaryngii, a następnie w Westfalii. Wyzwolony przez wojska alianckie, powrócił do ojczyzny w 1945 roku.

W nowej, wyzwolonej od nazizmu Polsce odnalazł komunizm. Odważnie bronił Polaków przed ateistycznym marksistowskim uciskiem, uciekając nawet przed kilkoma zamachami. Zmarł 22

października 1948 r. na zapalenie płuc w wieku 67 lat. Na pogrzeb przybyły tysiące ludzi.

Kardynał Hlond był człowiekiem pełnym cnót, wzorem salezjanina i hojnym, wymagającym duszpasterzem, zdolnym do proroczych wizji. Posłuszny Kościołowi i stanowczy w sprawowaniu władzy, wykazał się heroiczną pokorą i jednoznaczną stałością w czasach największej próby. Kultywował ubóstwo i praktykował sprawiedliwość wobec biednych i potrzebujących. Dwa filary jego życia duchowego, w szkole św. Jana Bosko, to Eucharystia i Maryja Wspomożycielka.

W historii Kościoła w Polsce kardynał August Hlond był jedną z najwybitniejszych postaci ze względu na religijne świadectwo swojego życia, wielkość, różnorodność i oryginalność swojej posługi duszpasterskiej, ze względu na cierpienia, którym stawiał czoła z nieustraszonym duchem chrześcijańskim dla Królestwa Bożego. Zapał apostolski wyróżniał pracę duszpasterską i duchową fizjonomię Czcigodnego Augusta Hlonda, który przyjął jako swoje motto biskupie *Da mihi animas coetera tolle*, jako prawdziwy syn św. Jana Bosko potwierdził je swoim życiem jako osoba konsekrowana i biskup, dając świadectwo nieustrudzonej miłości duszpasterskiej.

Trzeba pamiętać o jego wielkiej miłości do Matki Bożej, wyniesionej z domu rodzinnego i o wielkim nabożeństwie Polaków do Matki Bożej, czczonej w sanktuarium w Częstochowie. Co więcej, z Turynu, gdzie rozpoczął swoją drogę jako salezjanin, szerzył kult Maryi Wspomożycielki w Polsce i poświęcił Polskę Niepokalanemu Sercu Maryi. Zawierzenie Maryi zawsze podtrzymywało go w przeciwnościach i w godzinie ostatecznego spotkania z Panem. Zmarł z paciorkami różańca w dłoniach, mówiąc obecnym, że zwycięstwo, gdy nadejdzie, będzie zwycięstwem Maryi Niepokalanej.

Czcigodny kardynał August Hlond jest wyjątkowym świadkiem tego, jak musimy przyjmować drogę Ewangelii każdego dnia, mimo że przynosi nam ona problemy, trudności, a nawet prześladowania: to jest świętość. " Jezus przypomina, jak wielu ludzi było i jest prześladowanych jedynie z tego powodu, że walczyli o sprawiedliwość, że żyli swoim zaangażowaniem

wobec Boga i innych. Jeśli nie chcemy zanurzyć się w mrocznej miernocie, nie pragniemy wygodnego życia, bo „kto chce zachować swoje życie, straci je” (Mt 16, 25). Nie możemy czekać, aby zacząć żyć Ewangelią, gdy wszystko wokół nas będzie nam sprzyjało, ponieważ często chęć zdobycia władzy i interesy doczesne grają przeciwko nam... Krzyż, a szczególnie trud i udręki, które znosimy, by żyć według przykazania miłości i drogi sprawiedliwości, są źródłem naszego dojrzewania i uświęcenia” (Franciszek, Gaudete et Exsultate, nn. 90-92).

Don Jose-Luis Carreno, misjonarz salezjański

Ksiądz José Luis Carreño (1905-1986) został opisany przez historyka Josepha Thekkedatha jako „najbardziej kochany salezjanin południowych Indii” w pierwszej części XX wieku. Wszędzie tam, gdzie mieszkał – czy to w Indiach Brytyjskich, w portugalskiej kolonii Goa, na Filipinach czy w Hiszpanii – znajdujemy salezjanów, którzy z miłością pielęgnują jego pamięć. Dziwnie jednak, nie posiadamy jeszcze odpowiedniej biografii tego wielkiego salezjanina, z wyjątkiem obszernego listu pośmiertnego sporządzonego przez ks. José Antonio Rico: „José Luis Carreño Etxeandía, robotnik Boży”. Mamy nadzieję, że wkrótce uda się wypełnić tę lukę. Ksiądz Carreño był jednym z twórców regionu Azji Południowej i nie możemy pozwolić sobie na zapomnienie o nim.

José-Luis Carreño Etxeandía urodził się w Bilbao w Hiszpanii 23 października 1905 roku. Osierocony przez matkę w wieku ośmiu lat, został przyjęty do domu salezjańskiego w Santander. W 1917 roku, w wieku dwunastu lat, wstąpił do aspirantatu w

Campello. Wspomina, że w tamtych czasach „nie mówiło się wiele o Księdzu Bosko... Ale dla nas ksiądz Binelli był Księdzem Bosko, nie wspominając o księdzu Rinaldim, ówczesnym Prefekcie Generalnym, którego wizyty pozostawiały w nas nadprzyrodzone wrażenie, jak wtedy, gdy posłańcy Jahwe odwiedzili namiot Abrahama”.

Po nowicjacie i postnowicjacie odbył praktykę jako asystent nowicjuszy. Musiał być błyskotliwym klerykiem, ponieważ ks. Pedro Escursell pisał o nim do Przełożonego Generalnego: „Rozmawiam właśnie z jednym z wzorowych kleryków tego domu. Jest asystentem w formacji w tej Inspektorii; mówi mi, że od dawna prosi o wysłanie na misje i mówi, że zrezygnował z prośby, ponieważ nie otrzymuje odpowiedzi. Jest młodym człowiekiem o wielkiej wartości intelektualnej i moralnej”.

W przededniu święceń kapłańskich w 1932 roku młody José-Luis napisał bezpośrednio do Przełożonego Generalnego, oddając się do wyjazdu na misje. Oferta została przyjęta i został wysłany do Indii, gdzie wylądował w Bombaju w 1933 roku. Zaledwie rok później, gdy utworzono Inspektorię Indii Południowych, został mianowany mistrzem nowicjuszy w Tirupattur: miał zaledwie 28 lat. Dzięki swoim niezwykłym cechom umysłu i serca szybko stał się duszą domu i wywarł głębokie wrażenie na swoich nowicjuszach. „Zdobył nas swoim ojcowskim sercem” – pisze jeden z nich, arcybiskup Hubert D’Rosario z Shillong.

Ks. Joseph Vaz, inny nowicjusz, często opowiadał, jak Carreño zauważył, że drży z zimna podczas konferencji. „Poczekaj chwilę, hombre” – powiedział mistrz nowicjuszy i wyszedł. Niedługo potem wrócił z niebieskim swetrem, który wręczył Joe. Joe zauważył, że sweter był dziwnie ciepły. Potem przypomniał sobie, że pod sutanną jego mistrz nosił coś niebieskiego... czego teraz już nie było. Carreño oddał mu swój własny sweter. W 1942 roku, kiedy rząd brytyjski w Indiach internował wszystkich cudzoziemców z krajów będących w stanie wojny z Wielką Brytanią, Carreño, będąc obywatelem kraju neutralnego, pozostał nietknięty. W 1943 roku otrzymał wiadomość przez Radio Watykańskie: miał zająć miejsce księdza Eligio Cinato, inspektora Inspektorii Indii Południowych, także

internowanego. W tym samym czasie salezjański arcybiskup Louis Mathias z Madras-Mylapore zaprosił go na swojego wikariusza generalnego.

W 1945 roku został oficjalnie mianowany inspektorem, stanowisko to piastował od 1945 do 1951 roku. Jednym z jego pierwszych aktów było poświęcenie Inspektorii Najświętszemu Sercu Jezusa. Wielu salezjanów było przekonanych, że niezwykle wzrost Inspektorii Południowej był spowodowany właśnie tym gestem. Pod kierownictwem księdza Carreño, dzieła salezjańskie podwoiły się. Jednym z jego najbardziej dalekowzrocznych działań było uruchomienie kolegium uniwersyteckiego w odległej i biednej wiosce Tirupattur. Sacred Heart College ostatecznie przekształcił całą miejscowość.

Carreño był również głównym twórcą „indianizacji” salezjańskiego oblicza w Indiach, od samego początku poszukując lokalnych powołań, zamiast polegać wyłącznie na zagranicznych misjonarzach. Wybór ten okazał się opatrnościowy: po pierwsze, ponieważ przepływ zagranicznych misjonarzy ustał, został przerwany podczas wojny; po drugie, ponieważ niepodległe Indie zdecydowały się nie udzielać już wiz nowym zagranicznym misjonarzom. „Jeśli dziś salezjanów w Indiach jest ponad dwa tysiące, zasługa tego wzrostu należy przypisać polityce zapoczątkowanej przez księdza Carreño” – pisze ks. Thekkedath w swojej historii salezjanów w Indiach.

Ks. Carreño, jak już wspomnieliśmy, był nie tylko inspektorem, ale także wikariuszem bp. Mathiasa. Ci dwaj wielcy ludzie, którzy głęboko się szanowali, byli jednak bardzo różni pod względem temperamentu. Arcybiskup był zwolennikiem surowych środków dyscyplinarnych wobec współbraci w trudnościach, podczas gdy ks. Carreño preferował łagodniejsze procedury. Wizytator nadzwyczajny, ks. Albino Fedrigotti, wydaje się, że przyznał rację arcybiskupowi, nazywając ks. Carreño „doskonałym zakonnikiem, człowiekiem o wielkim sercu”, ale także „trochę zbyt nim poetą”.

Nie brakowało również oskarżeń o złe zarządzanie, ale znaczące jest, że postać taka jak ks. Aurelio Maschio, wielki

prokurator i architekt dzieł salezjańskich w Bombaju, zdecydowanie odrzucił takie oskarżenie. Tak naprawdę ks. Carreño był innowatorem i wizjonerem. Niektóre z jego pomysłów – takie jak zaangażowanie niesalezjańskich wolontariuszy do kilkuletniej służby – były wówczas traktowane z podejrzliwością, ale dziś są powszechnie akceptowane i aktywnie promowane.

W 1951 roku, po zakończeniu oficjalnej kadencji jako inspektor, Carreño został poproszony o powrót do Hiszpanii, aby zająć się Salezjanami Współpracownikami. Nie był to prawdziwy powód jego wyjazdu po osiemnastu latach w Indiach, ale Carreño przyjął to ze spokojem, choć nie bez bólu.

W 1952 roku został poproszony o wyjazd do Goa, gdzie pozostał do 1960 roku. „Goa była miłością od pierwszego wejrzenia” – napisał w *Urdimbre en el telar*. Goa z kolei przyjęła go do serca. Kontynuował tradycję salezjanów, którzy służyli jako kierownicy duchowi i spowiednicy duchowieństwa diecezjalnego, a nawet był patronem stowarzyszenia pisarzy w języku konkani. Przede wszystkim z miłością zarządzał wspólnotą Don Bosco Panjim, z niezwykłą ojcowską troską opiekował się wieloma biednymi chłopcami i, ponownie, aktywnie poświęcił się poszukiwaniu powołań do życia salezjańskiego. Pierwsi salezjanie z Goa – tacy jak Thomas Fernandes, Elias Diaz i Romulo Noronha – ze łzami w oczach opowiadali, jak Carreño i inni przechodzili obok Goa Medical College, tuż obok domu salezjańskiego, aby oddać krew i w ten sposób zdobyć kilka rupii, za które kupowali żywność i inne dobra dla chłopców.

W 1961 roku miała miejsce indyjska interwencja wojskowa i aneksja Goa. W tym czasie ks. Carreño przebywał w Hiszpanii i nie mógł już wrócić do ukochanej ziemi. W 1962 roku został wysłany na Filipiny jako mistrz nowicjuszy. Towarzyszył tylko trzem grupom nowicjuszy, ponieważ w 1965 roku poprosił o powrót do Hiszpanii. Przyczyną jego decyzji była poważna rozbieżność poglądów między nim a salezjańskimi misjonarzami z Chin, a zwłaszcza z księdzem Carlo Bragą, przełożonym wizytatorii. Carreño stanowczo sprzeciwiał się polityce

wysyłania młodych filipińskich salezjanów, świeżo po profesji, do Hongkongu na studia filozoficzne. Jak się okazało, ostatecznie przełożeni przyjęli propozycję zatrzymania młodych salezjanów na Filipinach, ale w tym momencie prośba Carreño o powrót do ojczyzny została już przyjęta.

Don Carreño spędził tylko cztery lata na Filipinach, ale także tutaj, podobnie jak w Indiach, pozostawił niezatarty ślad, „niezmierzony i kluczowy wkład w obecność salezjańską na Filipinach”, według słów salezjańskiego historyka Nestora Impelido.

Po powrocie do Hiszpanii współpracował z Prokurami Misyjnymi w Madrycie i New Rochelle oraz w animacji inspektorii iberyjskich. Wielu w Hiszpanii wciąż pamięta starego misjonarza, który odwiedzał domy salezjańskie, zarażając młodych swoim misyjnym entuzjazmem, swoimi pieśniami i muzyką. Ale w jego twórczej wyobraźni kształtował się nowy projekt. Carreño z całego serca poświęcił się marzeniu o założeniu Pueblo Misionero z dwoma celami: przygotowanie młodych misjonarzy – głównie z Europy Wschodniej – dla Ameryki Łacińskiej; oraz oferowanie schronienia dla „emerytowanych” misjonarzy, takich jak on, którzy mogliby również służyć jako formatorzy. Po długiej i bolesnej korespondencji z przełożonymi, projekt w końcu nabrał kształtu w Hogar del Misionero w Alzuza, kilka kilometrów od Pampeluny. Projekt powołaniowo-misyjny nigdy nie wystartował, a bardzo niewielu starszych misjonarzy faktycznie dołączyło do Carreño. Jego głównym apostolstwem w tych ostatnich latach pozostało pisanie. Pozostawił ponad trzydzieści książek, w tym pięć poświęconych Całunowi Turyńskiemu, któremu był szczególnie oddany.

Ks. José-Luis Carreño zmarł w 1986 roku w Pampelunie, w wieku 81 lat. Pomimo wzlotów i upadków swojego życia, ten wielki miłośnik Najświętszego Serca Jezusa mógł stwierdzić w złotym jubileuszu swoich święceń kapłańskich: „Jeśli pięćdziesiąt lat temu moim mottem jako młodego księdza było ‘Chrystus jest wszystkim’, dziś, stary i przytłoczony Jego miłością,

napisałbym to złotymi literami, ponieważ w rzeczywistości CHRYSTUS JEST WSZYSTKIM”.

ks. Ivo Coelho SDB

Dwa sny: szemranie – trzech umarłych (1876)

Utwór, którego akcja rozgrywa się w styczniu 1876 roku, przedstawia jeden z najbardziej sugestywnych „snów” Don Bosco, ulubione narzędzie, którym turyński święty wstrząsał i prowadził młodzież Oratorium. Wizja otwiera się na bezkresną równinę, na której wre praca siewców: ziarno, symbol Słowa Bożego, wykiełkuje tylko wtedy, gdy będzie chronione. Ale żarłoczne kury rzucają się na ziarno, a podczas gdy chłopci śpiewają wersety ewangeliczne, klerycy odpowiedzialni za ochronę milczą lub są rozproszeni, pozwalając, aby wszystko przepadło. Scena, ożywiona dowcipnymi dialogami i cytatami biblijnymi, staje się przypowieścią o szemraniu, które gasi owoc głoszenia, i przestrogą przed aktywną czujnością. W tonach jednocześnie ojcowskich i surowych, Don Bosco przekształca element fantastyczny w przejmującą lekcję moralną.

W drugiej połowie stycznia Ksiądz Bosko miał sen, z którego zwierzył się niektórym ze swoich. Wówczas ks. Barberis poprosił, ażeby go opowiedział publicznie, gdyż sny podobne bardzo interesowały młodzież przynosiły jej wielką korzyść duchowną i przywiązywały do Oratorium. To prawda – odrzekł na to Ksiądz Bosko; sny te robią dużo dobrego i są chciwie słuchane. Jeśli szkodzą komuś, to tylko moim płucom, które potrzebowalbym mieć żelazne. Rzec można, iż w Oratorium nie ma

ani jednego, który przy tych opowiadaniach nie czułby się wstrząśnięty do głębi. Wszak dotyczą one wszystkich i każdy pragnie wiedzieć, w jakim go stanie widziałem, co ma robić, co oznacza to i owo: i tak nie dają mi spokoju za dnia i w nocy. Jeżeli zaś chcę zachęcić do spowiedzi generalnej, to wystarczy, abym opowiedział jakiś sen... słuchaj... – zrobmy tak: w niedzielę ja przyjdę powiedzieć słówko do chłopców, a ty publicznie zapytasz mnie o sen, a wtedy ja go opowiem. I rzeczywiście dnia 25 stycznia, wieczorem, zjawił się Ksiądz Bosko wśród swych ukochanych chłopców z właściwym mu uśmiechem, wyrażającym całą Jego radość, jakiej doznawał, znajdując się pomiędzy nimi. Gdy się uspokoiło ks. Barberis odezwał się: Przepraszam Księdza Bosko, ale chciałem spytać o jedną rzecz.

– No powiedz bez obawy.

– Słyszałem, że Ksiądz Bosko miał sen o kurach, ziarnie i rolnikach, który opowiedział klerykowi Calvi. Czyżby nie był łaskawy opowiedzieć go i nam wszystkim? Bardzo byśmy się cieszyli.

– O, jaki ciekawski... – odezwał się Ksiądz Bosko.

– Niech ja już będę ciekawski, byle nam Ksiądz sen opowiedział. Jestem pewien, że moja prośba jest wyrazem życzenia wszystkich i wszyscy bardzo chętnie posłuchają.

– Jak tak, no to opowiem. Miałem zamiar nic nie mówić o tym, gdyż są w nim rzeczy, które odnoszą się w szczególniejszy sposób do niektórych, no i do ciebie, że będziesz musiał zarumienić się po uszy, lecz skoro już tak chcecie, to opowiem.

– No tak, Księżu Bosko, ale jeżeli miałbym za dużo oberwać, to proszę mi tego zaoszczędzić publicznie.

– Opowiem rzecz tak, jak ją śniłem: każdy niech weźmie, co dla niego. Ale przede wszystkim trzeba pamiętać, że człowiek śni śpiąc i wtedy nie rozumuje: jeśli więc w tym będzie co odpowiedniego dla kogoś, względnie jakie upomnienie, to niech każdy skorzysta, ale bez zbytniego przejmowania się. Powiedziałem, iż mi się śniło, gdy spałem w nocy, bo są i tacy, co śpią za dnia i to z otwartymi oczyma, ku utrapieniu

nauczycieli, dla których stają się niezniośni... I tak ciągnął dalej:

Zdawało mi się, że jestem stąd daleko, w Castelnuovo d'Asti, wśród obszernej, pięknej równiny, na uprawnym polu. Do kogo należało, nie wiem. W każdym razie nie było ono nasze. Pracowało tam mnóstwo ludzi. Jedni równali ziemię, inni orali, jeszcze inni siali... Motyki, łopaty, grabie były w ruchu. Pracami kierowali wyznaczeni ku temu przodownicy i zdawało mi się, jakbym i ja również należał do tej grupy. Z przeciwka stały rozśpiewane tłumy wieśniacze. Słuchałem ich, a nie mogąc nic z tego zrozumieć, pytałem sam siebie: Po co tyle tej pracy? I myślałem, że to chyba wszystko potrzebne, by moi chłopcy mieli chleba pod dostatkiem.

Podziwiać trzeba było owych pocziwych wieśniaków, gdyż ani na chwilę w pracy nie ustawali. Zaledwie paru stało tylko śmiejąc się i żartując. Rozglądając się wokoło, ujrzałem przy sobie kilku księży i swoich kleryków. Chyba śnię... – pomyślałem. Wszak moi klerycy są w Turynie, tymczasem to jest Castelnuovo. Zresztą jak to możliwe? Cały jestem okutany ciepło, wczoraj dopiero była zima, a tu zboże sieją? Chwytam się więc za ręce, chodzę tam i z powrotem, zaiste nie śnię... toż to prawdziwe pole. Kleryk, który tu stoi to kleryk A; tamten kleryk B. Zresztą niepodobieństwem jest widzieć naraz tyle rzeczy...

Gdy tak się głowiłem, zauważyłem w pobliżu starca, o miłej powierzchowności, który obserwował mnie i innych. Przystąpiłem wtedy do niego i spytałem:

– Powiedz mi, zacny staruszek, co to wszystko znaczy? Nic z tego nie pojmuję... gdzie jesteśmy? co to za pracownicy? co to za pole?...

– Och, ładne pytanie ... Ksiądz, jako kapłan tego nie wie..?

– Ależ proszę mi powiedzieć: sen to, czy jawa? Wszystko, co widzę wydaje mi się niemożliwe.

– Właśnie, że to najmożliwsze w świecie... owszem, to rzeczywistość. Czy sam się o tym nie spostrzegasz? Przecież doprawdy rozmawiasz, przysłuchujesz się, uśmiechasz, żartujesz ...

– No, a jednak – zauważyłem – trafiają się tacy, którym we

śnie się zdaje, że rozmawiają, pracują...

– Tym się nie ma co przejmować... ty rzeczywiście jesteś tutaj ciałem i duszą obecny.

– Niechże już i tak będzie. Proszę mi zatem powiedzieć, do kogo to pole należy?

– Wszak uczyłeś się łaciny. Przypomnij sobie wtedy pierwszy rzeczownik drugiej deklinacji według w gramatyki Donata. Musisz ją chyba znać?...

– Oczywiście.. lecz cóż to ma wspólnego z moim pytaniem?

– Owszem, wiele. Bo niech no sobie Ksiądz przypomni, jaki jest pierwszy wzór na drugą deklinację.

– Dominus..

– A w drugim przypadku?

– Domini.

– Bardzo dobrze: Domini. Pole to jest Domini – Pana.

– Aha, zaczynam pojmować...

Zastanowił mnie trochę sposób rozumowania zacnego staruszka. Tymczasem przede mną przesuwali się ludzie, dźwigający wory z ziarnem do siewu, a grupa śpiewacza śpiewała: Exiit, qui seminat, seminam semen suum... Ziarno, które nieśli było tak śliczne, że mi się grzechem wydawało, iż zostanie rzucone w ziemię i zbutwieje...

Nie byłoby lepiej – myślałem sobie – zemleć je i upiec chleba czy ciastek? Lecz wnet przypomniałem sobie, że jeżeli kto nie zasieje ten nie będzie zbierał. Jeśli ziarno nie zostanie wrzucone w ziemię, to nie zakiełkuje, to nie będzie żniwa... Wtem z różnych stron nadleciała cała chmara kur, które zaczęły wydziobywać ziarno zasiane... Chór za śpiewał dalej: Venerunt aves coeli, sustulerunt frumentum et reliquerunt zizanium.

Rzuciłem okiem wkoło: uderzało mnie zachowanie się kleryków. Ten z rękoma założonymi patrzył obojętnie przed siebie, tamten gawędził z kolegami, inni baraszkowali między sobą lub załatwiali jakieś osobiste interesy, ale żaden z nich nie ruszył się nawet, żeby odpędzać ptactwo. Oburzony zwracam się do nich i wołam:

– Od czego tu jesteście? Czy nie widzicie, jak kury wyłuskują ziarno?

– Nie rozumiecie, że zniszczą cały zasiew, jedyną nadzieję pocziwych tych wieśniaków? Cóż potem będzie się zbierać? No, no, cóż tak stoicie milcząc? Czemu nie płoszyście szkodników? Klerycy wzruszali tylko ramionami i spoglądali na mnie tępymi oczami. Niektórzy nawet nie raczyli obrócić się ku mnie i zgoła nie interesowali się polem, ani moim upomnieniem.

Doprawdy jesteście bezmyślni – karciłem dalej. Kury już wole mają pełne, a wy nie możecie ich spłoszyć, choćby samym klaśnięciem w dłonie, ot tak... To mówiąc, zacząłem sam klaskać w ręce... Nareszcie kilku ruszyło się i odpędzili ptactwo. A wtedy pomyślałem: No tak, ale teraz, to już za późno, skoro ziarno zostało wydziobane...

A do moich uszu doleciał śpiew wieśniaków: Canes muti nescientes latrare – psy nieme, co nie umieją szczekać... Zwróciłem się do starca trochę zdumiony i równocześnie oburzony:

– Dalejże, staruszkule, wyjaśnij mi, to, co tu widzę, gdyż nic z tego nie pojmuję. Co oznacza ziarno?

– Bardzo to proste: Semen est verbum Dei.

– No, ale co to miało znaczyć, że je kury wydziobały?

Starzec, zmieniając ton głosu ciągnął dalej:

– Och, jeżeli koniecznie chcesz dokładniejszego wytłumaczenia, to zaraz wyjaśnię wszystko.

Pole – to Winnica Pańska, o której wspomina Ewangelia, może również oznaczać serce ludzkie. Robotnikami są pracownicy ewangeliczni siejący słowo Boże, które przyniosłoby obfity owoc w duszach, gdyż gleba ta jest podatna. Lecz cóż się dzieje? Przylatują ptaki niebieskie i wydziobują je.

– Co oznaczają ptaki?

– Chcesz wiedzieć, co oznaczają ptaki? Zaraz ci powiem. Ptaki, to symbole szemrania i wygadywania. Po wysłuchaniu kazania, które wielki mogłoby przynieść owoc w duszy, idzie się z kolegami; z tych jeden krytykuje gesty, czy głos kaznodziei, inny jakąś jego ułomność fizyczną, czy cechy charakteru; jeszcze inny drwi sobie ze stylu... i tak cały owoc kazania przepada. To samo należy powiedzieć o czytaniu dobrych książek. Wszelki skutek dobrej lektury zostaje zniweczony

przez jakieś ujemne uwagi na jej temat. Takie wygadywanie tym jest niebezpieczniejsze, że przeważnie odbywa się w skrytości i szerzy się tam, gdzie się najmniej go spodziewamy. Ziarno, chociażby padło na glebę mniej urodzajną, zakiełkuje i zawsze coś przyniesie owocu. Gdy burza przejdzie nad łanami, choć je poniszczy i powichrzy, zawsze coś pozostanie: nawet gołe ziarno zasiane jest kiepskie, może mało, ale przecież zawsze z niego coś wyrośnie. Lecz, gdy je kury wydziobią, sytuacja jest beznadziejna. Podobnie dzieje się z kazaniami, naukami, upomnieniami. Jeżeli natrafi na przeszkody, jak roztrzepanie lub pokusy, może mniej, ale zawsze coś dobrego w duszy z nich pozostanie, ale jeśli spotkają się ze złośliwym szemraniem, krytyką lub czymś podobnym, to wszystko przepadnie, cały plon zostaje zniszczony. Kto zaś ma klaskać w dłonie, płoszyć i czuwać, by takie rozmowy nie miały miejsca, to dobrze wiesz.

– Cóż się jednak stało owym klerykom, że nie przeszkadzali złu? – zapytałem.

– Niestety, nic nie przeszkodzili – potwierdził i ciągnął dalej.

– Stali, gapili się, jak nieme posągi, bezmyślni, obojętni, z założonymi rękoma, a inni nie mieli odwagi przeciwstawić się złu. Niektórzy nawet, ale na szczęście tych było niewiele, przyłączyli się do szemrzących i brali udział w złych rozmowach, niszcząc tak do krzty działanie Słowa Bożego. Ty, co jesteś kapłanem, nie zapominaj nalegać, upominać, pouczać, nakłaniać bezustannie, nie obawiaj się, że tego może być kiedykolwiek za wiele. Niech wszyscy głęboko przekonają się, jak wielkim złem jest krytykowanie kazań, nauk, pożytecznych rad i wskazówek. Kto jest bierny na widok szerzącego się zła i nie przeciwstawia się mu, zwłaszcza jeśli może, a tym bardziej, jeśli powinien, ten staje się uczestnikiem grzechów cudzych.

Przejęty tymi słowami, chciałem jeszcze zobaczyć, co się dalej dzieje na polu, chciałem upomnieć kleryków i zachęcić ich do pełnienia swego obowiązku. Rzeczywiście niektórzy ruszyli się i przepędzali kury. Ja zaś zrobiwszy kilka kroków naprzód, zawadziłem o porzucone grabie i... przebudziłem się.

A teraz pomijając wszystko, przejdźmy do nauki moralnej.

– Księżę Barberis, co ksiądz ma do powiedzenia na temat tego snu?

– Mam do powiedzenia – odpowiedział ks. Barberis, iż w nim, kto zasłużył otrzymał porządną burę /bastonata/.

– Całkiem słusznie – ciągnął dalej Ksiądz Bosko. Ów sen jest lekcją, która powinna wszystkim posłużyć. Zapamiętajcie sobie, moi drodzy chłopcy, byście trzymali z dala od siebie wszelkie szemranie i unikali go, jako wielkiego zła, jak prawdziwej zarazy. Unikajcie go nie tylko sami, ale pomagajcie w tym drugim. Dobre rady, usługi, nie sprawią tyle dobrego, ile uczyni ten, kto przeszkodzi szemraniu, czy złym rozmowom. Zdobądźmy się na odwagę i zwalczajmy je śmiało. Nie masz większego nieszczęścia, jak marnowanie słowa Bożego, a wystarczy nieraz półsłówko, nieroztropny żart ...

Opowiedziałem wam sen, jaki miałem przed paru nocami, ale miałem jeszcze inny ubiegłej nocy, który również chcę wam opowiedzieć, tym bardziej, że jeszcze nie jest tak późno, bo dopiero dziewiąta. Postaram się jednak być krótkim.

Wydawało mi się, że znajduję się w jakiejś miejscowości, już nie przypominam sobie, w jakiej. Ale nie było to ani Castelnuovo, ani Oratorium. Wtem nadbiegł ktoś i woła do mnie:

– Księżę Bosko, niech Ksiądz idzie... Księżę Bosko, Księżę Bosko, prędziej, prędziej...

– A cóż tak pilnego – zapytałem.

– Ksiądz nie wie, co się dzieje?

– Nie wiem, wytłumacz się jaśniej – odparłem niespokojny.

– Proszę Księdza, ów chłopak tak dobry i pełny życia, leży ciężko chory i już jest prawie konający.

– Eh, żartujesz chyba... Przecież dzisiaj rano z nim rozmawiałem.

– Nie żartuję bynajmniej, ale mówię szczerą prawdę. Chłopak ten wzywa gorąco Księdza Bosko. Pragnie się z Księdzem widzieć i porozmawiać...

– Prędziej, bo może być za późno...

Pospieszyłem więc za wołającym, choć nie wiedziałem dokąd. Gdy

zaś doszliśmy na miejsce, ujrzałem ludzi smutnych i płaczących, którzy mówili:

– Proszę się spieszyć, już kona...

– Ale cóż się stało? – pytam.

Wprowadzono mnie do jakiegoś pokoju, gdzie ujrzałem chłopca śmiertelnie bladego, podobnego raczej do trupa. Silny kaszel dręczył go nieustannie, a z piersi wydobywało się stłumione rżenie tak, iż chory nie mógł nawet słowa wykrztusić.

– Czy to ty jesteś ten a ten? – zapytałem.

– Tak, to ja. Jak się czujesz?

– Ach, bardzo źle... Co ci się stało? Przecież wczoraj, owszem dziś rano, przechadzałem się z tobą pod portykami?

– Tak, odrzekł chłopczyk. Wczoraj i dziś rano przechadzałem się pod portykami, lecz proszę nie zwlekać. Pragnę się wyspowiadać. Pozostaje mi już bardzo mało czasu.

– Bądź spokojny, nie obawiaj się. Spowiadałeś się przecież przed paru dniami.

– To prawda i zdaje mi się, że nie mam nic ciężkiego na sumieniu. Jednakże pragnę otrzymać rozgrzeszenie, nim stanę przed Boskim Sędzią.

Wysłuchałem jego spowiedzi. Równocześnie zauważyłem, że stan jego pogarsza się z każdą chwilą, bo dech mu zapierało. Trzeba się spieszyć – pomyślałem sobie, jeżeli chory ma przyjąć Wiatyk i otrzymać Ostatnie namaszczenie. A kto wie, czy będzie mógł przyjąć Wiatyk święty z powodu kaszlu... A więc trzeba wziąć przynajmniej oleje święte. Wyszedłem, więc z pokoju i posłałem natychmiast po oleje święte. Chłopcy obecni w pokoju pytali niespokojni:

– Czy doprawdy grozi mu niebezpieczeństwo? Czy już jest konający?

– Niestety – odparłem. Nie widzicie, że oddech staje się coraz cięższy i kaszel dech mu zapiera?

– Może by było jeszcze możliwe przynieść mu Wiatyk i tak posilonego na duszy oddać w ręce Maryi Najświętszej?

Gdy byłem zajęty przygotowaniem potrzebnych rzeczy, słyszę głos: skonał.

Wróciłem do pokoju i zastałem chłopca z oczyma postawionymi w

słup, już martwego.

– Umarł? ... – odezwałem się do dwóch, co przy nim czuwali.

– Umarł, umarł – odpowiedzieli.

– Ale jakżeż tak prędko, tak nagle, czyż to doprawdy on?

– Tak, to on – odrzekli mi.

Wierzyć nie mogę własnym oczom: wczoraj jeszcze przechadzał się ze mną pod portykami...

– Tak, tak, wczoraj chodził, a dziś leży martwy, przytaknęli smutno.

– Całe szczęście, że był to chłopak wzorowy – powiedziałem do otaczających mnie chłopców. A pomyślcie, że nie miał nawet możliwości przyjęcia Wiatyku i Ostatniego Namaszczenia. Podziękujmy Bogu, że zdołał się wyspowiadać. Dobry był i przystępował dość często do sakramentów świętych. Możemy mieć nadzieję, że już jest w niebie lub przynajmniej w czyśćcu. A gdyby jego los spotkał któregoś z was, co się działoby z niektórymi?... Uklękliśmy wszyscy i odmówiliśmy psalm: „Z głębokości” – za duszę zmarłego.

Kiedy, wracałem do pokoju, natknąłem się na biegnącego mi naprzeciw z księgarni Ferrarisa, który zatrwożony pyta:

– Czy Ksiądz Bosko wie, co się przed chwilą stało?

– Niestety, wiem. Umarł chłopak N – odparłem.

– Nie o niego chodzi, ale umarli dwaj inni.

– Cóż znowu, którzy?

– Ten i ten...

– A kiedy? Nic nie rozumiem.

– Tak, dwaj inni zmarli, wcześniej, zanim Ksiądz przybył.

– A dlaczego nie wezwaliście mnie ?

– Nie było czasu... Ale niech Ksiądz powie, kiedy ten pierwszy umarł?

– W tej chwili, co dopiero – odpowiedziałem.

– A czy Ksiądz wie, którego dzisiaj mamy – pytał dalej Ferraris.

– Pewno, że wiem. Dzisiaj mamy 22 stycznia, trzeci dzień nowenny do św. Franciszka Salezego.

– Nie – odrzekł Ferraris. Ksiądz Bosko się myli. Niech Ksiądz lepiej zobaczy...

Spojrzałem na kalendarz: był 26 maja.

– To niemożliwe – wykrzyknąłem. Przecież teraz jest styczeń dopiero. Poznaję to choćby z tego, jak jestem ubrany: w maju nikt by się tak grubo nie ubierał. W maju nie ogrzewa się kaloryferów. Nie wiem, co na to powiedzieć, ale dzisiaj rzeczywiście jest 26 maja. Przecież wczoraj dopiero umarł nasz towarzysz, a to był styczeń.

– Myli się Ksiądz, wyjaśniał Ferraris. To było w czasie Wielkanocnym.

– Tego już za wiele: co jedno zdanie, to większa niedorzeczność.

– A jednak było to w czasie wielkanocnym. Miał wielkie szczęście, że umarł na Wielkanoc, większe niż ci dwaj, co zmarli w miesiącu maryjnym.

– Chyba drwisz sobie ze mnie. Mów jaśniej, gdyż nic z tego nie rozumiem.

– Bynajmniej nie żartuję. Rzecz ma się tak, jak mówię. Jeżeli zaś Ksiądz chce się przekonać, to proszę uważać...

Tu rozłożył ramiona i mocno zaklaskał w dłonie, a ja się przebudziłem.

– Co za szczęście – zawołałem – że to był sen, a nie rzeczywistość.

– A ja się tak przeraziłem...

Taki sen miałem ubiegłej nocy. Nie chcę przypisywać mu szczególniejszej wagi... Wystarczy mi, że ci, których widziałem martwych we śnie, są żywi i zdrowi. Oczywiście nie wypada podawać teraz nazwisk. Będę ich jednak miał na oku, służąc im radą i zachętą według potrzeby, by mogli być na śmierć przygotowani. Niechże jednak nikt nie mówi sobie: to ten lub tamten, ale niech każdy myśli o swej duszy. A nie potrzebujecie z tego powodu pośepnieć. Jedyne wnioski, jakie obecnie powinien wam się nasunąć, to ten podany przez samego Boskiego Zbawiciela w Ewangelii: „Estote parati, quia qua hora non putatis, Filius hominis veniet – bądźcie gotowi...”. Ten, co jest nieprzygotowany, by umrzeć dobrze, stale narażony jest na śmierć nieszczęśliwą. Ja przygotowuję się na tę chwilę jak najstaranniej; i wy czyńcie to samo, abyśmy w każdej chwili

gotowi byli na wezwanie Boże przejść do wiecznej szczęśliwości. Dobranoc.

Słów Księdza Bosko słuchano zawsze w religijnym skupieniu. Ale kiedy opowiadał te nadzwyczajne rzeczy, wśród setek chłopców zgromadzonych koło Niego, nikt nie kaszlnął, ani szurgnął nogą. Wrażenie, jakie one wywierały, trwało całe tygodnie i miesiące, a wraz z tymi przeżyciami następowały poważne zmiany w zachowaniu się nawet wielkich łobuzów. Całe gromady chłopców oblegały wtedy jego konfesjonał... Jakieś przypuszczenie, że zmyśla te opowiadania, by nastraszyć i pobudzić młodzież do poprawy życia, nikomu nawet nie przyszło do głowy, gdyż przepowiednie śmierci sprawdzały się zawsze, a sny odpowiadały rzeczywistości.

Ale czyż niepokój wywołany podobnymi ponurymi przepowiedniami, nie był dla owej młodzieży gniotącą wszystkich zmorą?... Nie wyglądało. Najpierw, na tak wielką ilość ośmiuset chłopców, jacy wtedy byli w Oratorium, za dużo nasuwało się kombinacji i możliwości, by poszczególne jednostki miały się tym zbytnio niepokoić. Poza tym panowało wśród nich ogólne przekonanie, że kto umiera w Oratorium, idzie na pewno do raju i że Ksiądz Bosko przygotowuje ich do śmierci tak, iż się nawet o tym nie spostrzegą.

Takie są zgodne wszystkie świadectwa z owych czasów Oratorium.

Kiedy chłopcy poszli spać, niektórzy współbracia otoczyli Księdza Bosko, wpytując natarczywie, czy to nie, który z nich ma wkrótce umrzeć. Ale Święty uśmiechając się swym zwyczajem i potrząsając głową żartował:

– No, no, niechbym powiedział kto jest, a jeszcze umarłby przed czasem...

Ci widząc, że na ten temat nic nie wskórają, zaczęli z innej beczki pytając, czy są wśród nich tacy, którzy należeli do kur w pierwszym śnie, czyli do szemrających. Ksiądz Bosko spojrzawszy po wszystkich z uśmiechem, rzekł : Może się tam jakiś znalazłby... i zamilkł. Wówczas pytali, czy są między nimi psy nieme. Odpowiedział ogólnikowo i zalecił unikać szemrania i złych rozmów oraz przeszkadzać im.

– Biada takiemu księdzu czy klerykowi – mówił Ksiądz Bosko – który przeznaczony do czuwania nad innymi, choć widzi nieporządki, a nie przeszkadza im. Trzeba wam wiedzieć, że przez szemranie nie rozumiem tylko właściwego szemrania, czy obmawiania /Włosi mówią obcinania sukni na plecach / ale wszelkie rozmowy, słowa. dowcipy, które ubliżają w jaki bądź sposób Słowu Bożemu. W ogóle pragnę zaznaczyć, że wielkie jest to zło stać obojętnie wobec nieporządków a nie przeszkadzać im według możliwości. Ktoś odważniejszy zapytał jeszcze, co odnosi się we śnie do ks. Barberisa, bo było w nim ponoć coś i dla niego. A ponieważ widać było, że ksiądz Barberis nie miał nic przeciw, by mu to powiedzieć publicznie, a obecni byli tylko sami księża, Ksiądz Bosko tak odrzekł:

– Eh, ks. Barberis nie kładzie na ten punkt dostatecznego nacisku w swoich kazaniach. Ten rzeczywiście potwierdził, że przez cały rok na temat szemrania nie miał ani raz konferencji do nowicjuszków. Oczywiście z uwagi bardzo skrzętnie skorzystał. Tak rozmawiając weszli po schodach pod pokój Księdza Bosko i ucałowawszy go w rękę udali się na spoczynek. Pozostał tylko ksiądz Barberis, który jeszcze towarzyszył Księdzu Bosko do jego sypialni, gdzie niespodziewanie nawiązała się dalsza rozmowa przez jakieś pół godziny. Nie było to w zwyczaju Księdza Bosko, ale w tym wypadku był widocznie mocno przejęty tym, co widział i rozmową z księdzem Barberisem chciał się jakoś uspokoić. Między innymi tak mu się zwierzał:

– We śnie widziałem wszystkich i widziałem stan duszy każdego. Poznałem, kto kura, kto pies niemy, czy upomniany zabrał się do roboty czy nie. Tym posługuję się przy spowiedziach, przy napominaniu czy publicznym, czy prywatnym, dopóki to nie odniesie skutku. Z początku nie przypisywałem większej wagi podobnym snom, ale z biegiem czasu przekonałem się, że są one skuteczniejsze od niejednego kazania, a nawet od kolekcji i dlatego z nich korzystam. A czemuż nie miałbym korzystać? Czytamy w Piśmie świętym: Probate spiritus; quod bonum est tenete. Widzę, że chłopcy z nich korzystają, że słuchają ich z przyjemnością, czemu więc miałbym je taić? Owszem, przekonuję

się, że one przywiązują ich tym bardziej do Zgromadzenia.

– I ja przekonałem się o tym – przerwał ks. Barberis – jak wielce pożyteczne i zbawienne są te sny. Nawet opowiadane gdzie indziej robią dużo dobrego. Gdzie Ksiądz Bosko jest znany, tam się je opowiada, jak jego sny, a gdzie jest nieznany, tam służą one dobrze, jako symboliczne przypowieści. O gdyby tak można sporządzić ich zbiór i wykorzystać właśnie, jako przykłady alegoryczne w kazaniach. Byłyby one poszukiwane i czytane tak przez małych jak wielkich, przez młodych i starych z wielką korzyścią dla ich dusz.

– Tak, tak zrobiłyby dużo dobrego, jestem o tym głęboko przekonany.

– Wielka szkoda – zauważył z żalem ks. Barberis – że ich nikt nie spisuje.

– Ja, ciągnął dalej Ksiądz Bosko- nie mam czasu, a wielu już nie pamiętam nawet.

– Te, które ja sobie przypominam – podchwycił ks. Barberis – to są sny, które odnoszą się do rozwoju Zgromadzenia pod płaszczem Madonny...

– Ach tak – zawołał Ksiądz Bosko – i zaraz kilka z nich przypomniat.

Następnie z miną poważną i z pewnym niepokojem dodał:

– Kiedy myślę o swej odpowiedzialności w warunkach, w jakich się znajduję, cały drżę... Jakiż straszny rachunek będę musiał zdać przed Bogiem z tych wszystkich łask, jakich nam udziela dla rozwoju naszego Zgromadzenia.

(MB IT XII, 40-51/MB PL XII, 25-33)

Zdjęcie: shutterstock.com

Dziesiąte Wzgórze (1864)

Sen o „Dziesiątym Wzgórzu”, opowiedziany przez księdza Bosko w październiku 1864 roku, to jedna z najbardziej sugestywnych stron tradycji salezjańskiej. Święty widzi w nim siebie w rozległej dolinie pełnej młodych ludzi: jedni już w Oratorium, inni jeszcze do spotkania. Prowadzony przez tajemniczy głos, musi przeprowadzić ich przez strome zbocze, a następnie przez dziesięć wzgórz, symbolizujących dziesięć przykazań, w kierunku światła, które zapowiada Raj. Wóz Niewinności, zastępy pokutników i niebiańska muzyka tworzą edukacyjny fresk: ukazują trud zachowania czystości, wartość skruchy i niezastąpioną rolę wychowawców. Dzięki tej proroczej wizji ksiądz Bosko przewiduje światową ekspansję swojego dzieła i zobowiązanie do towarzyszenia każdemu młodemu człowiekowi na drodze zbawienia.

Dnia 19 października – Na słówku przypominał chłopcom o ich rodzicach, którzy tak kochają swych synów, trudy, jakie dla ich wychowania ponoszą; podkreślił, z jaką czcią, miłością i posłuszeństwem winni odpowiadać ich staraniom. Następnie polecił, by pisali do rodziców na dowód, że o nich pamiętają.

Po tych przemówieniach opowiedział wspaniały sen.

Czytamy w Księdze Daniela proroka w rozdz. I, w. 17 że czterech młodzieńców ze szlacheckiego rodu uprowadzonych do Babilonii przez króla Nabuhodonozora zachowało swą wierność Bogu: „a Bóg dał im wiedzę i mądrość wszelakich ksiąg; Danielowi zaś rozumienie i wykład wszelkich snów i widzeń”. Taką też była łaska udzielona Księdzu Bosko w jego snach i wizjach, które opisywaliśmy, podobnie teraz, naszym zdaniem, będzie ze snem opowiedzianym chłopcom wieczorem 22 października.

Otóż Ksiądz Bosko śnił w noc poprzednią. W tym samym czasie chłopiec nazwiskiem C..E.. z Casal Monferrato miał również sen, zdawało mu się, że prowadził rozmowę ze Świętym. Wstawszy

rano pod wrażeniem tego snu, poszedł do swego nauczyciela i opowiedział o tym, co śnił, zaś ten polecił mu zakomunikować to Księdzu Bosko.

Zdawało się Księdzu Bosko, że stoi na wielkiej równinie wśród ogromnej rzeszy młodzieży. Nie przypuszczał nawet, żeby tylu jego chłopców było na świecie. Poznał wśród nich dawnych i obecnych uczniów Oratorium, a inni to na pewno będą przyszli wychowankowie jego zakładów, między nimi uwijali się księża i klerycy salezjanie.

Równinę z jednej strony zamykało wysokie pasmo gór. Gdy Ksiądz Bosko zastanawiał się, co by począć z taką masą młodzieży, naraz usłyszał jakiś głos:

Widzisz tę wyżynę? Otóż trzeba zdobyć jej szczyt.

Bez chwili namysłu dał chłopcom znak, by ruszyli naprzód w kierunku góry. Wszyscy na wyścigi popędzili ku wskazanemu celowi, a z nimi księża i klerycy, którzy pomagali słabszym, a nawet brali na swe barki tych, co już ustali w drodze. Ksiądz Rua z podwiniętymi rękawami pracował więcej od innych. Po prostu brał jednego chłopaka po drugim i rzucał ku górze. Ci zwinnie stawali tam na równe nogi i zaraz biegli dalej, baraszkując między sobą. Ksiądz Francesia zaś i ksiądz Cagliero biegli od jednych do drugich zachęcając ich:

Odwagi...Naprzód! ... nie ustawać.. zawsze ku szczytom!

W niespełna godzinę góra została zdobyta.

No, a cóż teraz zrobimy? Odezwał się Ksiądz Bosko, gdy razem z młodzieżą stanął na górze.

A teraz, odzywa się tajemniczy głos – trzeba zdobyć dalsze dziewięć wzgórz, które piętrzą się przed wami, jedno po drugim.

Ale jakże ci malcy nieprzyzwyczajeni do trudów podróży, przebędą tak żmudną drogę?

Kto nie będzie mógł dojść pieszo, to go się podwiezie, brzmiała odpowiedź.

I rzeczywiście, gdzieś spoza góry ukazał się naraz wspaniały wóz platforma. Był trójboczny, o trzech, kołach, które mogły się obracać we wszystkich kierunkach. Z jego trzech kątów wystawały trzy maszty, u których styku nad wozem zatknięty był

przepyszny sztandar z wielkim napisem:

INNOCENTIA – N i e w i n n o ś ć

Szeroka wstęga ze słowami: ADIUTORIUM DEI – Z pomocą Najwyższego Boga Ojca, Syna i Ducha świętego, opasywała wóz tworząc rodzaj poręczy.

Gdy ten lśniący złotem i drogimi kamieniami powóz zajechał przed chłopców, na dany znak pięciuset z nich wsiadło do niego. /Tylko pięciuset na takie mnóstwo chłopców zachowało dotąd niewinność Chrztu świętego /.

Gdy Ksiądz Bosko zastanawiał się, którędy by najdogodniej było podejść do owych wzgórz, oto naraz otwarła się przed nimi szeroka wygodna droga, ale cała pokryta kolcami. Zjawiło się sześciu chłopców biało ubranych, którzy dawniej zmarli w Oratorium. Ci nieśli drugi sztandar z emblematem:

PENITENZA – P o k u t a

i ustawili się na czele tych chłopców, co mieli iść pieszo. Dano znak do marszu. Wielu księży skoczyło do dyszla powozu, który przez nich ciągnięty, ruszył powoli naprzód, a za nim owych sześciu pod sztandarem i reszta chłopców. Tak szli wszyscy przy przecudnym śpiewie tych, co siedzieli w powozie, nucących psalm: „Chwalcie o dziatki Najwyższego Pana...”.

Ksiądz Bosko kroczył wśród młodzieży upojony tą niebiańską iście muzyką, gdy przyszło mu na myśl, by obrócić się i zobaczyć, czy też wszystka ta rzesza młodzieży widziana przedtem idzie za nim. Oglądnął się więc, lecz jaki bolesny przedstawił mu się widok? Wielu pozostało tam na samym dole...wielu zawróciło z drogi. Zaskoczony tym i zmartwiony bardzo decyduje się wracać, by tych lekkoduchów zachęcić i dopomóc im we wspinaczce ku szczytom. Tego mu jednak kategorycznie zabroniono.

Przecież zgubią się ci biedacy – zawołał.

Tym gorzej dla nich, brzmiała odpowiedź. Mieli wezwanie na równi z innymi. Czemu kapryszą i nie chcą iść? Znali drogę i to wystarcza. Ksiądz Bosko chciał ich tłumaczyć, błagał, zaklinał, lecz bezskutecznie. Usłyszał tylko: posłuszeństwo obowiązuje i ciebie. Musiał iść naprzód.

Jeszcze się po tym skarceniu nie uspokoił, gdy oto nowa

spotyka go boleść. Z owego pięknego powozu, co chwila, któryś chłopak wypadał. Z pięciuset pozostało pod sztandarem niewinności zaledwie 150. Serce mu się krajało na ten widok. Uspokajał się tylko tym, że to tylko sen. Chciał więc się zbudzić i wysiłał się, by odpędzić tę gniotącą go zmorę, ale ani jęki jego, ani klaskanie w dłonie nic nie pomagało.

Ach moi drodzy chłopcy, zawołał w tym miejscu opowiadając sen: Widziałem was, poznałem i tych, którzy zostali na dole i tych co wrócili się, a także i tych, co wypadli z powozu. Pamiętam ich. Bądźcie pewni, że wszystko zrobię, by was zbawić, ale niestety wielu z was nie chce skorzystać z moich zachęt do spowiedzi i moich upomnień. Na miłość Boską, myślcie poważnie o zbawieniu swej duszy!

Na szczęście, dużo z tych, co wypadli z wozu, dołączało się do orszaku idącego za sztandarem pokuty. To trochę uspokoiło Księdza Bosko, a jeszcze bardziej kojąco podziałała słodka muzyka, jaka nie milkła na owym powozie. Przy jej dźwiękach, z całą gromadą sobie wiernych, przeszedł już 7 wzgórz i podchodzili na szczyt ósmego. Tu natrafili na jakąś piękną miejscowość zabudowaną wspaniałymi pałacami. Zatrzymali się, więc, by trochę odpocząć.

Opisując chłopcom tę okolicę, Ksiądz Bosko zauważył:

Powtórzę wam za świętą Teresą to, co ona mówiła o rzeczach niebiańskich, a mianowicie, że mówić o nich naszym językiem znaczy tyle, co umniejszać ich piękność. Więc zaznaczę jedynie, że pałace owe, ich gzymsy i filary, mieniły się złotem odbijającym się w kryształach diamentów, a ich blask zadziwiał, sycił oczy, napawał serce radością. Ogrody, pola całe pełne były drzew, na których roztaczały swe wdzięki wszystkie pory roku w listkach, kwiatach i owocach razem. Iście czarująca była to wizja. Chłopcy rozbiegli się uradowani i z ciekawości, jak i z chęci zakosztowania owocu.

Ale tu dopiero spotkała Księdza Bosko prawdziwa niespodzianka. Oto naraz wszyscy ci chłopcy przybrali wygląd starców; bez zębów, ze zmarszczkami na twarzy, pochylonych, kulawych, wspartych na lasce, z siwymi włosami. Gdy tego nie mógł zrozumieć usłyszał GŁOS:

Nie masz, co się dziwić. Nie przed paru godzinami wyszedłeś z owej doliny, by dostać się na ten szczyt, ale od tego czasu upłynęły już lata i lata, to ta muzyka tak ci czas skracala. Zresztą przypatrz się swojej twarzy, a przekonasz się, że mówię prawdę. Ksiądz Bosko spojrział w lusterko, jakie mu podano i zobaczył siebie jako człowieka bardzo podeszłego w latach, ze zmarszczkami na czole na półspróchniałymi zębami...

Ale trzeba było już ruszać w dalszą drogę, choć chłopcy nalegali, by jeszcze poczekać, tak im się ta miejscowość podobała. Ksiądz Bosko jednak nie ustępował mówiąc:

Naprzód, naprzód, ku szczytowi. Nie ma się, co tu zatrzymywać. Wszystko, co potrzebne, mamy, nie jesteśmy głodni ani spragnieni, więc naprzód!

W dali na dziesiątym wzgórzu pokazało się światło, jakby wychodziło z rozwartej bramy i potężniało coraz bardziej. Dały się słyszeć jakieś harmonie niebieskie, łączące w sobie piękno muzyki instrumentalnej z pięknem głosów ludzkich, tak miłe i upajające, że rozradowany Ksiądz Bosko... zbudził się w łóżku.

Sam Ksiądz Bosko tak komentował powyższy sen: Owa równina, to świat. Zamykające ją z jednej strony wzgórze, to trudności oderwania się od świata. Ów powóz tłumaczy się sam.

Chłopcy idący pieszo, to ci, co popadłszy w grzech poprawili się jednak. Dziesięć pagórków to Dziesięć Przykazań Boskich, których zachowanie zapewnia niebo.

/Ksiądz Lemoyne nie był całkiem zadowolony z tego tłumaczenia danego przez Księdza Bosko i zanotowawszy sobie sen, dopisał: „Uważam, że Ksiądz Bosko nie powiedział wszystkiego, co mu dane było poznać we śnie. Owe dziesięć pasm górskich to nie tylko Przykazania Boskie, ile raczej dziesiątki lat. Ksiądz Bosko 548 skończył swą pielgrzymkę po 7 pagórku, czyli dożyje siedemdziesiątki. Zresztą zobaczymy”/.

Interpretacja ta okazała się słuszna. Ksiądz Bosko dożył 72 lat. Wtedy to Zgromadzenie przez niego założone, już naprawdę pięknie się rozwinęło, niosąc w sobie kwiaty nadziei na dalszy rozwój, przynosząc obfite owoce na niwie Kościoła św.

Sen właśnie wskazuje życie Księdza Bosko. Porównajmy go ze znanym nam dopiero później snem o kole. Otóż obroty koła

dokonują się co lat 10, a podobnie podróż od pagórka do pagórka odbywa się w ciągu lat 10, tak iż w sumie 10 pagórków daje sto lat, najdłuższe życie ludzkie na ziemi. Otóż widzimy Księdza Bosko jako chłopaka w pierwszym dziesięcioleciu, jak rozpoczyna swą misję wśród towarzyszy lat chłopięcych w Becchi, dając początek swej dalszej podróży. Przebiega kolejno siedem pagórków, to jest siedemdziesiąt lat życia, dochodzi do ósmego pagórka i zatrzymuje się. Widzi cudowny rozwój Zgromadzenia w postaci wielkiej liczby domów, wielkie dobro zdziałane z łaski Bożej. Zbyt daleko ósmy pagórek, więc zatrzymuje się w drodze; nie dochodzi już do dziesiątego, gdyż budzi się. Tak więc przeżył nie całą ósmą dziesiątkę lat umierając w wieku 72 lat i pięciu miesięcy.

Cóż na to czytelnik? Dodamy, że następnego dnia Ksiądz Bosko zapytał nas, co myślimy o tym śnie; my zaś odpowiedzieliśmy, że dotyczy on nie tylko chłopców, lecz odnosi się do rozrostu Zgromadzenia na całym świecie.

(MB IT VII, 796-802/MB PL VII, 544-548)

Józef August Arribat: Sprawiedliwy wśród Narodów Świata

1. Profil biograficzny

Czcigodny Sługa Boży Józef August Arribat urodził się 17 grudnia 1879 r. w Trédou (Rouergue – Francja). Ubóstwo rodziny zmusiło młodego Augusta do rozpoczęcia szkoły średniej w oratorium salezjańskim w Marsylii dopiero w wieku 18 lat. Ze względu na sytuację polityczną na przełomie wieków rozpoczął życie salezjańskie we Włoszech i otrzymał sutannę z rąk

błogosławionego Michała Rua. Po powrocie do Francji rozpoczął, podobnie jak wszyscy jego współbracia, życie salezjańskie w stanie półtajności, najpierw w Marsylii, a następnie w La Navarre, założonej przez Księdza Bosko w 1878 roku.

Wyświęcony na kapłana w 1912 r., został powołany do wojska podczas I wojny światowej i pracował jako sanitariusz noszowy. Po wojnie ks. Arribat kontynuował intensywną pracę w La Navarre do 1926 r., po czym udał się do Nicei, gdzie przebywał do 1931 roku. Powrócił do La Navarre jako dyrektor i jednocześnie odpowiedzialny za parafię św. Izydora w dolinie Sauvebonne. Jego parafianie nazywali go „świętym z doliny”.

Pod koniec trzeciego roku został wysłany do Morges w kantonie Vaud w Szwajcarii. Następnie otrzymał trzy kolejne mandaty [przełożonego zakonnego – przyp. tłum.] po sześć lat każdy, najpierw w Millau, następnie w Villemur i wreszcie w Thonon w diecezji Annecy. Jego najbardziej niebezpiecznym i pełnym łaski okresem była prawdopodobnie praca w Villemur podczas II wojny światowej. Powróciwszy do La Navarre w 1953 roku, ks. Arribat pozostał tam aż do swojej śmierci, która miała miejsce 19 marca 1963 roku.

2. Głęboko Boży człowiek

Człowiek codziennego obowiązku, nic nie było dla niego drugorzędne i wszyscy wiedzieli, że wstawał bardzo wcześnie, aby posprzątać toalety uczniów i dziedziniec. Kiedy został dyrektorem domu salezjańskiego, chcąc wypełniać swoje obowiązki do końca i do perfekcji, z szacunku i miłości do innych, często kończył swoje dni bardzo późno, skracając godziny odpoczynku. Z drugiej strony był zawsze dostępny, gościnny dla wszystkich, umiał dostosować się do wszystkich, czy to dobroczyńców i wielkich właścicieli ziemskich, czy też służby domowej, zachowując stałą troskę o nowicjuszy i współbraci, a zwłaszcza o powierzonych mu młodych ludzi.

Ten całkowity dar z siebie przejawiał się aż do heroizmu. Podczas II wojny światowej nie wahał się przyjmować żydowskich rodzin i młodych ludzi, narażając się na poważne

ryzyko niedyskrecji lub donosu. Trzydzieści trzy lata po jego śmierci ci, którzy byli bezpośrednimi świadkami jego heroizmu, uznali wartość jego odwagi i poświęcenia życia. Jego imię zostało zapisane w Jerozolimie, gdzie został oficjalnie uznany za „Sprawiedliwego wśród Narodów Świata”.

Wszyscy uznali go za prawdziwego męża Bożego, który „wszystko czynił z miłości, a nic na siłę”, jak mawiał św. Franciszek Salezy. Oto tajemnica promieniowania, z którego pełnego zakresu on sam być może nie zdawał sobie sprawy.

Wszyscy świadkowie jego życia zauważali żywą wiarę tego sługi Bożego, człowieka modlitwy, bez ostentacji. Jego wiara była promieniującą, wiarą człowieka zawsze zjednoczonego z Bogiem, prawdziwego człowieka Bożego, a w szczególności człowieka Eucharystii.

Kiedy odprawiał Mszę św. lub modlił się, emanował z jego osoby rodzaj żarliwości, która nie mogła pozostać niezauważona. Jeden ze współbraci stwierdził, że: „widząc, jak czyni swój wielki znak krzyża, wszyscy w porę odczuwali przypomnienie o Bożej obecności. Jego skupienie przy ołtarzu było imponujące”. Inny salezjanin wspomina, że „czynił swoje ukłony do doskonałości z odwagą, wyrazem adoracji, która prowadziła do pobożności”. Ten sam dodaje: „On wzmocnił moją wiarę”.

Jego wizja wiary jaśniała w konfesjonale i w rozmowach duchowych. Przekazywał swoją wiarę. Człowiek nadziei, który zawsze polegał na Bogu i Jego Opatrzności, zachowując spokój w czasie burzy i szerząc wszędzie poczucie pokoju.

Ta głęboka wiara została w nim jeszcze bardziej udoskonalona w ciągu ostatnich dziesięciu lat jego życia. Nie miał już żadnych obowiązków i nie mógł już z łatwością czytać. Żył tylko tym, co najważniejsze i świadczył o tym z prostotą, witając wszystkich, którzy dobrze wiedzieli, że jego połowiczna ślepota nie przeszkadza mu widzieć wyraźnie w ich sercach. Jego konfesjonał na tyłach kaplicy był miejscem obleganym przez młodych ludzi i sąsiadów z doliny.

3. „Nie przyszedłem, aby mi służyli...”

Zachowany przez świadków obraz ks. Augusta to obraz sługi Ewangelii, ale w najbardziej pokornym sensie. Zamiatanie dziedzińca, czyszczenie toalet uczniów, zmywanie naczyń, opieka i czuwanie nad chorymi, grabienie ogrodu, grabienie parku, dekorowanie kaplicy, wiązanie butów dzieciom, czesanie ich włosów, nic go nie odpychało i nie można go było odciągnąć od tych pokornych dzieł miłosierdzia. „Dobry ojciec” Arribat był bardziej hojny w konkretnych czynach niż w słowach: chętnie udostępniał swój pokój okazjonalnym gościom, którzy ryzykowali, że będą mniej komfortowo zakwaterowani niż on. Jego dyspozycyjność była stała, przez cały czas. Troska o czystość i godne ubóstwo nie dawała mu spokoju, bo dom musiał być przytulny. Jako człowiek łatwo nawiązujący kontakty, wykorzystywał swoje długie marsze, aby pozdrowić wszystkich i nawiązać dialog, nawet z antyklerykałami.

Ks. Arribat mieszkał przez ponad trzydzieści lat w Navarre, w domu, który sam ks. Bosko chciał oddać pod opiekę św. Józefa, głowy i sługi Świętej Rodziny, wzoru wiary w ukryciu i dyskrecji. W swojej trosce o potrzeby materialne domu i poprzez bliskość ze wszystkimi ludźmi oddanymi pracy fizycznej, chłopami, ogrodnikami, robotnikami, pomocnikami, kucharzami czy pracami, ten ksiądz sprawiał, że ludzie myśleli o świętym Józefie, którego imię również nosił. Czy to przypadek, że zmarł 19 marca, w święto św. Józefa?

4. Autentyczny wychowawca salezjański

„Opatrzność powierzyła mi w szczególny sposób opiekę nad dziećmi”, powiedział, podsumowując swoje specyficzne powołanie salezjanina, ucznia Księdza Bosko, w służbie młodym, zwłaszcza najbardziej potrzebującym.

Ks. Arribat nie miał żadnych szczególnych cech, które łatwo narzucają się młodzieży na zewnątrz. Nie był ani wielkim sportowcem, ani błyskotliwym intelektualistą, ani mówcą przyciągającym tłumy, ani muzykiem, ani człowiekiem teatru czy kina, nic z tych rzeczy! Jak wytłumaczyć wpływ, jaki wywierał na młodych ludzi? Jego sekretem było nic innego

jak to, czego nauczył się od Księdza Bosko, który podbił swój mały świat trzema rzeczami uważanymi za fundamentalne w edukacji młodzieży: rozumem, religią i miłością. Jako „ojciec i nauczyciel młodzieży” wiedział, jak rozmawiać z młodymi językiem rozumu, motywować, wyjaśniać, przekonywać, przekonywać swoich uczniów, unikając impulsów namiętności i gniewu. Umieścił religię w centrum swojego życia i działania, nie w sensie wymuszonego jej narzucania, ale poprzez świetliste świadectwo swojej relacji z Bogiem, Jezusem i Maryją. Podobnie miłość: nią zdobywa się serca młodych. Warto przy tym przytoczyć słowa św. Franciszka Salezego: „Więcej much złapiesz na łyżkę miodu niż na beczkę octu”.

Szczególnie miarodajne jest świadectwo ks. Pietro Ricaldone, przyszłego następcy Księdza Bosko, który po wizytacji kanonicznej w latach 1923-1924 napisał: „Ks. August Arribat jest katechetą, spowiednikiem i przeżywa śluby w sposób wzorowy! Jest świętym współbratem. Tylko jego dobroć może sprawić, że jego różne obowiązki będą mniej nie do pogodzenia”. Następnie powtarza swoją pochwałę: „Jest doskonałym współbratem, niezbyt zdrowym. Ze względu na swoje dobre maniery cieszy się zaufaniem starszych młodzieńców, którzy prawie wszyscy idą do niego”.

Uderzającą rzeczą był niemal ceremonialny szacunek, jaki okazywał wszystkim, a zwłaszcza dzieciom. Do małego ośmiolatka zwracał się „Monsieur”. Jedna z kobiet zeznała: „Szanował drugiego tak bardzo, że ten drugi był niemal zmuszony do wyniesienia się do godności, którą został obdarzony jako dziecko Boże, a wszystko to nawet bez mówienia o religii”.

Z otwartą twarzą i uśmiechem, ten syn św. Franciszka Salezego i Księdza Bosko nikomu nie przeszkadzał. Jeśli szczupłość jego osoby i asceza przypominały świętego wikariusza z Ars i księdza Rua, to jego uśmiech i słodycz były typowo salezjańskie. Jak ujął to jeden ze świadków: „Był najbardziej naturalnym człowiekiem na świecie, pełnym humoru, spontanicznym w swoich reakcjach, młodym duchem”.

Jego słowa, które nie były słowami wielkiego

oratora, były skuteczne, ponieważ emanowały z prostoty i żarliwości jego duszy.

Jeden z jego byłych uczniów zeznał: „W naszych dziecięcych głowach, w naszych dziecięcych rozmowach, po wysłuchaniu opowieści o życiu Jana Marii Vianneya, zwykliśmy przedstawiać księdza Arribata tak, jakby był dla nas świętym proboszczem z Ars. Godziny katechizmu, przedstawione prostym, ale prawdziwym językiem, były przez nas śledzone z wielką uwagą. Podczas Mszy ławki z tyłu kaplicy były zawsze pełne. Mieliśmy wrażenie, że spotykamy Boga w Jego dobroci i to naznaczyło naszą młodość”.

5. Ks. Arribat ekologiem?

Oto oryginalny rys, który dopełnia obrazu tej pozornie zwyczajnej postaci. Był uważany niemal za ekologę, zanim to określenie stało się powszechne. Drobnym rolnikiem, nauczył się głęboko kochać i szanować naturę. Jego młodzieńcze kompozycje są pełne świeżości i bardzo dobrych obserwacji, z nutką poezji. Spontanicznie dzielił się pracą tego wiejskiego świata, w którym żył przez większość swojego długiego życia.

Mówiąc o swojej miłości do zwierząt, ile razy widziano „dobrego ojca, z pudełkiem pod pachą, pełnym okruszków chleba, mozolnie torującego drogę z refektarza do swoich gołębi bardzo bolesnymi małymi krokami”. Niewiarygodny fakt dla tych, którzy nie widzieli, mówi osoba, która była świadkiem tej sceny, gołębie, gdy tylko go zobaczyły, podeszły do siatki, jakby chciały go powitać. Otworzył klatkę i natychmiast do niego podeszły, a niektóre z nich stanęły mu na ramionach. „Mówił do nich z wyrazami, których nie pamiętam, jakby znał je wszystkie. Kiedy pewien chłopiec przyniósł mu małego wróbelka, którego zabrał z gniazda, powiedział mu: „Musisz dać mu wolność”. Opowiadana jest również historia o dość okrutnym wilczurze, którego tylko on był w stanie oswoić, a który po jego śmierci położył się obok jego trumny.

Ten krótki duchowy profil księdza Augusta Arribata dał nam niektóre duchowe rysy twarzy świętych, z którymi czuł się blisko: kochająca dobroć Księdza Bosko, asceza księdza

Rua, łagodność świętego Franciszka Salezego, pobożność kapłańska świętego proboszcza z Ars, miłość do natury świętego Franciszka z Asyżu oraz stała i wierna praca świętego Józefa.

Czcigodny Ottavio Ortiz Arrieta Coya, biskup

Octavio Ortiz Arrieta Coya, urodzony w Limie w Peru 19 kwietnia 1878 roku, był pierwszym peruwiańskim salezjaninem. W młodości kształcił się na stolarza, ale Pan powołał go do wyższej misji. Pierwszą profesję salezjańską złożył 29 stycznia 1900 roku, a na kapłana został wyświęcony w 1908 roku. W 1922 roku został konsekrowany na biskupa diecezji Chachapoyas, którą to funkcję pełnił z oddaniem aż do śmierci 1 marca 1958 roku. Dwukrotnie odrzucał nominację na bardziej prestiżową stolicę w Limie, woląc pozostać blisko swojego ludu. Jako nieustrudzony pasterz przemierzał całą diecezję, aby osobiście poznać wiernych i promował liczne inicjatywy duszpasterskie na rzecz ewangelizacji. 12 listopada 1990 roku, za pontyfikatu św. Jana Pawła II, otwarto jego proces kanonizacyjny i nadano mu tytuł Sługi Bożego. 27 lutego 2017 roku papież Franciszek uznał jego heroiczne cnoty, ogłaszając go Czcigodnym.

Czcigodny Sługa Boży, biskup Ottavio Ortiz Arrieta Coya spędził pierwszą część swojego życia jako oratorianin, uczeń, a następnie został salezjaninem, zaangażowanym w dzieła Synów Księdza Bosko w Peru. Był pierwszym salezjaninem wychowanym w pierwszym domu salezjańskim w Peru, założonym w Rimac, ubogiej dzielnicy Limy, gdzie nauczył się surowego życia w poświęceniu. Dzięki grupie pierwszych salezjanów, którzy przybyli do Peru w 1891 r., poznał ducha księdza Bosko

i system prewencyjny. Jako salezjanin pierwszego pokolenia nauczył się, że służba i dar z siebie będą horyzontem jego życia; dlatego jako młody salezjanin podejmował ważne obowiązki, takie jak otwieranie nowych dzieł i kierowanie innymi, z prostotą, poświęceniem i całkowitym oddaniem ubogim.

Drugą część swojego życia, od początku lat dwudziestych XX wieku, przeżył jako biskup Chachapoyas, ogromnej diecezji, nieobsadzonej od lat, w której zaporowe warunki terytorialne przyczyniły się do pewnego zamknięcia, zwłaszcza w najbardziej odległych wioskach. Tutaj pole i wyzwania apostołatu były ogromne. Ortiz Arrieta miał żywy temperament, przyzwyczajony do życia wspólnotowego; ponadto był delikatny duchem, do tego stopnia, że w młodości nazywano go „pecadito”, ze względu na jego dokładność w wykrywaniu niedociągnięć i pomaganiu sobie i innym w poprawie. Posiadał również wrodzone poczucie rygoru i moralnego obowiązku. Warunki, w jakich przyszło mu pełnić posługę biskupią, były jednak diametralnie różne: samotność i niemożność dzielenia życia salezjańskiego i kapłańskiego, pomimo wielokrotnych i niemal błagalnych próśb kierowanych do własnego Zgromadzenia; konieczność pogodzenia własnego rygoryzmu moralnego z coraz bardziej uległą i niemal rozbrojoną stanowczością; szlachetne sumienie moralne nieustannie wystawiane na próbę przez szorstkość wyborów i letniość w naśladowaniu, ze strony niektórych współpracowników mniej heroicznych niż on sam, oraz Ludu Bożego, który wiedział, jak przeciwstawić się biskupowi, gdy jego słowo stawało się potępieniem niesprawiedliwości i diagnozą duchowego zła. Droga Czcigodnego Sługi Bożego do pełni świętości, w ćwiczeniu się w cnotach, była zatem naznaczona trudami, trudnościami i ciągłą potrzebą nawracania swojego spojrzenia i serca pod działaniem Ducha Świętego.

Chociaż z pewnością znajdujemy w jego życiu epizody, które można zdefiniować jako heroiczne w ścisłym tego słowa znaczeniu, musimy również, a może przede wszystkim, podkreślić te momenty na jego drodze cnót, kiedy mógł postąpić inaczej, ale tego nie zrobił; poddając się ludzkiej rozpacz, jednocześnie odnawiając nadzieję; zadowalając się wielką

miłością, ale nie w pełni chcąc wykonywać tę heroiczną miłość, którą praktykował z przykładną wiernością przez kilka dziesięcioleci. Kiedy dwukrotnie zaproponowano mu zmianę stolicy biskupiej, a w drugim przypadku zaproponowano mu prymasostwo w Limie, zdecydował się pozostać wśród swoich ubogich, tych, których nikt nie chciał, naprawdę na peryferiach świata, pozostając w diecezji, którą zawsze popierał i kochał taką, jaka była, angażując się całym sercem, aby uczynić ją choć trochę lepszą. Był „nowoczesnym” duszpasterzem w swoim stylu obecności i w wykorzystaniu środków działania, takich jak stowarzyszenie się i prasa. Jako człowiek o zdecydowanym temperamencie i mocnych przekonaniach wiary, biskup Ortiz Arrieta z pewnością wykorzystywał to „don de gobierno” w swoim przywództwie, zawsze jednak w połączeniu z szacunkiem i miłością, wyrażanymi z niezwykłą konsekwencją.

Chociaż żył przed Soborem Watykańskim II, sposób, w jaki planował i realizował powierzone mu zadania duszpasterskie, jest nadal aktualny: od duszpasterstwa powołań po konkretne wsparcie swoich seminarzystów i kapłanów; od formacji katechetycznej i ludzkiej najmłodszych po duszpasterstwo rodzin, poprzez które spotykał się z małżeństwami w kryzysie lub konkubinatami niechętnymi do uregulowania swojego związku. Biskup Ortiz Arrieta, z drugiej strony, nie tylko wychowuje poprzez swoje konkretne działania duszpasterskie, ale poprzez swoje zachowanie: przede wszystkim poprzez swoją zdolność do rozeznawania, co oznacza i co pociąga za sobą odnowienie wierności obranej drodze. Naprawdę wytrwał w heroicznym ubóstwie, w męstwie w wielu życiowych próbach i w radykalnej wierności diecezji, do której został przydzielony. Pokorny, prosty, zawsze pogodny; między powagą a łagodnością; łagodność jego spojrzenia przepuszczała cały spokój jego ducha: to była droga świętości, którą podążał.

Piękne cechy, które jego salezjańscy przełożeni znaleźli w nim przed jego święceniami kapłańskimi – kiedy opisali go jako „salezjańską perłę” i chwalili jego ducha poświęcenia – powracały jako stałe przez całe jego życie, nawet jako Episkopat. Rzeczywiście, można powiedzieć, że Ortiz

Arrieta „stał się wszystkim dla wszystkich, aby ocalić kogoś za wszelką cenę” (1 Kor 9, 22): autorytatywny wobec władz, prosty wobec dzieci, ubogi wśród ubogich; cichy wobec tych, którzy go obrażali lub próbowali go delegitymizować z urazy; zawsze gotowy, by nie odpłacać złem za zło, ale zło dobrem zwyciężać (por. Rz 12, 21). Całe jego życie było zdominowane przez prymat zbawienia dusz: zbawienia, któremu chciałby również aktywnie poświęcić swoich kapłanów, których pokusę wycofania się do łatwego bezpieczeństwa lub okopania się na bardziej prestiżowych stanowiskach, aby zamiast tego poświęcić się służbie duszpasterskiej, starał się zwalczać. Można naprawdę powiedzieć, że postawił siebie w tej „wysokiej” mierze życia chrześcijańskiego, co czyni go duszpasterzem, który w oryginalny sposób ucieleśniał miłość duszpasterską, szukając komunii między ludem Bożym, docierając do najbardziej potrzebujących i dając świadectwo ubożego życia ewangelicznego.

Syndrom Filipa i Andrzeja

W opisie Ewangelii wg św. Jana, rozdział 6, wersety 4-14, przedstawiającym rozmnożenie chleba, znajdujemy pewne szczegóły, nad którymi dłużej się zatrzymuję za każdym razem, gdy medytuję lub komentuję ten fragment.

Wszystko zaczyna się, gdy Jezus, widząc „wielki” głodny tłum, zaprasza uczniów, by wzięli na siebie odpowiedzialność za jego nakarmienie.

Szczegóły, o których mówię, to po pierwsze, gdy Filip mówi, że nie jest możliwe podjęcie tego wezwania z powodu liczby obecnych ludzi. Andrzej natomiast, wskazując, że „jest tu chłopiec, który ma pięć chlebów jęczmiennych i dwie ryby”, zaraz potem bagatelizuje tę możliwość prostym komentarzem:

„ale co to jest dla tak wielu ludzi?” (w. 9).

Pragnę prosto podzielić się z wami, drodzy czytelnicy i czytelniczki, jak my, chrześcijanie, którzy mamy powołanie do dzielenia się radością naszej wiary, czasami, nieświadomie, możemy zostać zarażeni syndromem Filipa lub Andrzeja. Czasami być może nawet obydwoma!

W życiu Kościoła, podobnie jak w życiu Zgromadzenia i Rodziny Salezjańskiej, wyzwań nie brakuje i nigdy nie zabraknie. Nasze powołanie nie polega na tworzeniu grupy ludzi, gdzie szuka się tylko dobrego samopoczucia, bez przeszkadzania i bez bycia niepokojonym. Nie jest to doświadczenie oparte na gotowych pewnikach. Bycie częścią Ciała Chrystusa nie powinno nas rozpraszać ani odrywać od rzeczywistości świata, takiej, jaka ona jest. Wręcz przeciwnie, skłania nas do pełnego zaangażowania w wydarzenia ludzkiej historii. Oznacza to przede wszystkim patrzeć na rzeczywistość nie tylko ludzkimi oczami, ale także, a przede wszystkim, oczami Jezusa. Jesteśmy zaproszeni do odpowiadania, kierując się miłością, która ma swoje źródło w sercu Jezusa, czyli żyć dla innych, tak jak Jezus nas uczy i pokazuje.

Syndrom Filipa

Syndrom Filipa jest subtelny i z tego powodu również bardzo niebezpieczny. Analiza Filipa jest słuszna i poprawna. Jego odpowiedź na zaproszenie Jezusa nie jest błędna. Jego rozumowanie podąża za bardzo liniową i bezbłędną ludzką logiką. Patrzył na rzeczywistość swoimi ludzkimi oczami, racjonalnym umysłem i, ostatecznie, nie do zrealizowania. W obliczu tego „rozsądnego” sposobu postępowania, głodny przestaje być dla mnie wyzwaniem, problem jest jego, nie mój. Aby być bardziej precyzyjnym w świetle tego, co przeżywamy na co dzień: uchodźca mógł zostać w swoim domu, nie musi mi przeszkadzać; biedny i chory niech sami sobie radzą i nie do mnie należy bycie częścią ich problemu, a tym bardziej znajdowanie dla nich rozwiązania. Oto syndrom Filipa. Jest on naśladowcą Jezusa, jednak jego sposób widzenia i interpretowania rzeczywistości wciąż jest nieruchomy,

niekwestionowany, są to lata świetlne od tego, co prezentował jego Mistrz.

Syndrom Andrzeja

Następuje syndrom Andrzeja. Nie mówię, że jest gorszy od syndromu Filipa, ale niewiele brakuje, by był bardziej tragiczny. Jest to syndrom subtelny i cyniczny: widzi jakąś możliwą okazję, ale nie idzie dalej. Jest maleńka nadzieja, ale po ludzku nie jest ona do zrealizowania. Wtedy dochodzi do zdyskredytowania zarówno daru, jak i darczyńcy. A darczyńca, któremu w tym przypadku przypada „nieszczęście”, to chłopiec, który jest po prostu gotów podzielić się tym, co ma!

Dwa syndromy, które wciąż są z nami, w Kościele, a także wśród nas, duszpasterzy i wychowawców. Zniszczyć małą nadzieję jest łatwiej niż dać miejsce na Bożą niespodziankę, niespodziankę, która może sprawić, że zakwitnie nawet najmniejsza nadzieja. Pozwolenie na uwarunkowanie się dominującymi kliszami, aby nie badać możliwości, które podważają redukcyjne odczytania i interpretacje, jest stałą pokusą. Jeśli nie będziemy ostrożni, staniemy się prorokami i wykonawcami naszej własnej zguby. Wskutek pozostawania zamkniętymi w ludzkiej logice, „akademicko” wyrafinowanej i „intelektualnie” kwalifikowanej, przestrzeń dla ewangelicznego odczytania staje się coraz bardziej ograniczona i w końcu zanika.

Kiedy ta ludzka i horyzontalna logika zostaje podważona, jednym ze znaków, które wywołuje w obronie, jest „ośmieszenie”. Kto ośmieli się podważyć ludzką logikę, ponieważ pozwala wejść świeżemu powietrzu Ewangelii, zostanie ośmieszony, zaatakowany, wyśmiany. Kiedy tak się dzieje, dziwnie możemy powiedzieć, że jesteśmy na drodze prorockiej. Wody się poruszają.

Jezus i dwa syndromy

Jezus przezwycięża oba syndromy, „biorąc” chleby uważane za nieliczne i w konsekwencji nieistotne. Jezus otwiera drzwi do tej prorockiej przestrzeni wiary, którą jesteśmy wezwani zamieszkiwać. Wobec tłumu nie możemy zadowolić się

autoreferencyjnymi lekturami i interpretacjami. Podążanie za Jezusem oznacza wyjście poza ludzkie rozumowanie. Jesteśmy wezwani, by patrzeć na wyzwania Jego oczami. Kiedy Jezus nas wzywa, nie prosi nas o rozwiązania, lecz o oddanie całych siebie, z tym, kim jesteśmy i co posiadamy. Jednakże ryzyko polega na tym, że w obliczu Jego wezwania pozostajemy nieruchomi, a w konsekwencji stajemy się niewolnikami naszych myśli i chciwymi tego, co uważamy za swoje.

Tylko w hojności opartej na oddaniu się Jego Słowu docieramy do zebrania obfitości opatrznosciowego działania Jezusa. „Zebrali więc i napełnili dwanaście koszy kawałkami, które z tych pięciu chlebów jęczmiennych pozostały tym, którzy jedli” (w. 13): mały dar chłopca owocuje w zaskakujący sposób tylko dlatego, że oba syndromy nie miały ostatniego słowa.

Papież Benedykt tak komentuje ten gest chłopca: „W scenie rozmnożenia odnotowano również obecność chłopca, który w obliczu trudności z nakarmieniem tak wielu ludzi, daje wszystkim do wspólnego użytku to niewiele, co ma: pięć chlebów i dwie ryby (por. J 6, 8). Cud nie może się dokonać z niczego, lecz wychodząc od pierwszego skromnego dzielenia się tym, co miał ze sobą zwykły chłopiec. Jezus nie żąda od nas tego, czego nie mamy, ale ukazuje nam, że jeśli każdy da to niewiele, co ma, cud może dokonywać się nieustannie na nowo: Bóg potrafi pomnożyć każdy nasz mały gest miłości i uczynić nas uczestnikami swego daru” (Anioł Pański, 29 lipca 2012).

W obliczu wyzwań duszpasterskich, które mamy, w obliczu tak wielkiego pragnienia i głodu duchowości, które wyrażają młodzi, starajmy się nie bać, nie trzymać się kurczowo naszych rzeczy, naszych sposobów myślenia. Ofiarujmy Mu to niewiele, co mamy, zaufajmy światłu Jego Słowa i niech to, i tylko to, będzie stałym kryterium naszych wyborów i światłem, które prowadzi nasze działania.

Zdjęcie: Cudowne rozmnożenie chleba i ryb, witraż z opactwa Tewkesbury w Gloucestershire (Wielka Brytania), dzieło z 1888 roku, wykonane przez Hardman & Co.